Nr. 21. Warszawa, dnia 24 (12) Maja 1890 r. Rok X.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka:* Szruba bez końca. — Z Austryi p. S. — *Odcinek:* Tydzień polityczny. — Nieznajomy przez Matyldę Sarao. — *Badania naukowe:* Związek zjawisk w czasie i przyrodzie. I. Ustęp z dziejów nauki p. Henryka Silbersteina. — „Dobro społeczne i uczciwa wiedza“ p. D-ra K. — *Literatura i sztuka:* Listy wiedeńskie p. Stwosza. — Kolchida północna p. Rom. Baudouina de Courtenay. *Fejleton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Z. Atanazego. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

SZRUBA BEZ KOŃCA.

Tem mianem ochrzczono budżet wojskowy w Niemczech. Jest on rzeczywiście szrubą, która wkręca się nieustannie w życie narodu, powodując odpowiednią działalność w innych państwach, a nikomu nie wiadomo, kiedy i gdzie się zatrzyma. Wymagane bowiem obecnie przez rząd 18 milionów marek dopłaty na potrzeby wojskowe — nie stanowi jeszcze kresu i ostatniego słowa żądań w tym kierunku. Jak tylko okaże się przewaga sił zbrojnych po stronie Niemiec, natychmiast zrównoważą ją sąsiednie mocarstwa, poczem znowu Niemcy uznają się za „prześcignięte,“ znowu zechcą współzawodnikom dorównać i tak dalej bez końca. Dawniej ministrowie niemieccy przynajmniej zapewniali, że każdy ruch owej szruby jest ostatnim; obecnie już nawet nie zadają sobie tego trudu, przeciwnie, zapowiadają, że za lat parę nastąpi „zupełna reorganizacya armii,“ która wymagać będzie nierównie znaczniejszych ofiar. Dawniej mniemano, że ten straszliwy haracz jest tymczasowym, że wkrótce wybuchnie starcie wytężonych usiłowań, które rozegra wielką walkę, uporządkuje splątane stosunki, rozetnie węzły i pozwoli społeczeństwom odpocząć w bezpiecznym pokoju; dziś nawet ta wątła nadzieja znikła, gdyż utrzymanie olbrzymich armij uznano za konieczność ciągłą, za instytucyę trwałą, nierozerwalną z życiem społeczeństw. Jako apostoł i obrońca tej rozpaczliwej teoryi wystąpił w sejmie niemieckim generał Moltke. Według niego minęły te czasy, kiedy wojnę wypowiadały sobie rządy: obecnie grożą nią światu narody, których wiecznie wzburzone a nienasycone namiętności wstrząsają go możliwością wybuchu. Dla okiełznania lub odparcia tych mas, dla powstrzymania żywiołów niesfornych potrzebną jest siła, którą daje tylko armia. Gdy wszyscy są uzbrojeni i gotowi do walki, nikt nie śmie drugiego zaczepić, a tym sposobem wytwarza się i utrzymuje pokój. Bez takiego ubezpieczenia powstałaby Hobbesowska walka wszystkich ze wszystkimi, która mogłaby ciągnąć się zarówno lat 7, jak 30. Każdy tedy prawdziwy miłośnik pokoju powinien pragnąć i przyczyniać się do tego, ażeby... szruba bez końca nie ustawała.

Może teorya ta miałaby bodaj kulawą racyę, gdyby narody składały się z samych bandytów i rabusiów, gdyby ich „namiętności“ płynęły tylko ze źródeł chciwego łupieztwa. Ale na szczęście tak nie jest. Istniejące pomiędzy nimi zatargi, pretensye i procesy opierają się również na zasadach prawnych i uczuciach czystych. Nie zawsze chodzi im o to, ażeby inne zabijać i rabować, ale także i o to, ażeby nie były mordowane i rabowane. W tegoczesnem obozowisku takie roszczenia wydają się ideologią lub nawet występkiem, ale to wcale nie znaczy, ażeby one nie były słuszne i ażeby kiedykolwiek militaryzm w najwyższym swym rozwoju zdołał je wytępić. Zagadnienia, spoczywające w łonie świata i targające nim, nie zamykają się jedynie w kwestyach, kto kogo zdoła obić i okraść, niemiec francuza, czy francuz niemca, anglik hiszpana, czy hiszpan anglika, ale także tkwią w niezmiernie doniosłych sprawach swobody i możliwości istnienia ludzkiego, w pogwałceniu praw natury i moralności, które ciągle narusza równowagę stosunków, wytwarza krzywdy i rodzi nienawiści. Chociażby wszystkie narody stanęły z bronią u nogi i tak ściśle wyrównały swe siły, że żaden z nich nie zdołałby zgromić drugiego — o czem marzy Moltke — to jeszcze nie da im spokoju i pomyślności, bo nie załatwi ich waśni zarówno wewnętrznych, jak zewnętrznych. Zresztą czy szruba militaryzmu może się wkręcać bez końca? Przecież kiedyś zbraknie środków dla niej, gdy ona wyczerpie wszystkie materyały, których dziś używa. Jeszcze 20, 30, 50, 100 milionów się znajdzie, ale ostatecznie dostarczyciele tych milionów powiedzą: nie mamy ich więcej, oddaliśmy wszystko.

Chociaż opozycya w sejmie niemieckim pojmuje niszczące działanie owej szruby, nie śmie odmówić jej dalszych wydatków, bo wszelki jej opór łamią natychmiast względy patryotyczne i dbałość o bezpieczeństwo kraju. A nuż Francya rzeczywiście przewyższy swą siłą zbrojną Niemcy i rozgromi je! „Kto powiedział *A*, musi powiedzieć *B*“ — nietylko *B*, ale także *C*, *D* itd. aż do końca alfabetu. Kto wstąpił na drogę militaryzmu, musi konsekwentnie iść do jej końca, jeśli nie chce być zmiażdżonym i stracić prawo do pogróżki, jakiej sobie niedawno pozwolił Wilhelm II w Królewcu, mówiąc: „niech nas zaczepią — nauczymy ich.“ Zwłaszcza zaś lew z pod Sedanu i Paryża nie może być trwożliwą myszą pod miotłą; woli on mieć puste kiszki i zapadłe boki, niż wyłamane pazury. Mrucząc więc z głodu i wycieńczenia, spoczywa on w swem legowisku, czekając chwili, kiedy inny zachoruje, ażeby mógł na niego się rzucić i jego mięsem się nakarmić. Tymczasem na długo w pustyni zapewniony jest pokój — leżą obok siebie lwy zdrowe i mocne.

Z AUSTRYI.

Walka o ugodę indemnizacyjną w parlamencie.— Program Bobrzyńskiego w kwestyi szkolnej.— Ks. Czartoryski o patronacie i opozycya Gniewosza.—Galicyjskie szkoły przemysłowe.— Minister Bacquchem o przyszłej polityce handlowej Austryi; handlowo polityczne wnioski posła Kozłowskiego. — Istota sporu o dług indemnizacyjny. — Obrady indemnizacyjne, — Rezultat.

Ostatni okres obrad parlamentu austryackiego wypełniali zupełnie niemal posłowie polscy, a głównym przedmiotem, najbardziej roznamiętniającym umysły, była sprawa indemnizacyi galicyjskiej. Właściwie stała ona na porządku dziennym podczas całej dyskusyi budżetowej, jeno że nie występowała na powierzchnię; rozum stanu, a niestety, rzec trzeba, i cynizm parlamen-

tarny, święciły tryumfy, jakich od dawna nie pamiętano w parlamencie austryackim. Myliłby się, ktoby sądził, że przemowy prof. Bobrzyńskiego o projekcie ustawy szkolnej i ks. Czartoryskiego o patronacie odnosiły się istotnie do ustawy szkolnej i do patronatu: wprawdzie o tych kwestyach mówiono, ale myślano o projekcie indemnizacyjnym. Mało to pono p. Bobrzyńskiego obchodziło, że jego program postępowo-autonomiczno-klerykalno-federalistyczny co do szkolnictwa zawierał mnóstwo sprzeczności logicznych, skoro tylko był wyrazem faktycznej pozakulisowej ugody klerykałów i młodoczechów z Kołem polskiem. P. Bobrzyński stanowczo zbijał twierdzenie, jakoby oświadczenie biskupów austryackich w sprawie szkół wyznaniowych było ostatniem słowem prawicy. Daleką ona ma być od zamiaru podkopywania przepisów konstytucyi. Zdaniem jej w ustawie zasadniczej powinny być oznaczone tylko zasady kierujące, reszta pozostawioną ustawodawstwom krajowym. Szkoły powinny być przystępne dla młodzieży wszystkich wyznań; jednak odstąpić należy od zasady dotychczasowej, że wychowanie dzieci ma być moralno-religijnem; należy wypowiedzieć ściśle: wychowanie dzieci odbywać się musi na podstawie ich religii i wiary. Jak sobie Bobrzyński wyobraża tę szkołę międzywyznaniową, w której każda wyznaniowa grupa dzieci wychowywaną być ma na zasadach dogmatyki ich religii, jest równie niejasnem, jak następne żądania jego: Kościół nie powinien kontrolować szkół, jednak należy uwzględniać życzenia jego w kierownictwie spraw szkolnych i w układzie planu nauk; w zasadzie niechaj pozostanie ośmioletni czas szkolny, jednak gminom niechaj przysługuje prawo zredukowania go na lat sześć.

Dość niezwykłą była scena, jaką spowodował ks. Czartoryski, występując również dla zjednania życzliwości klerykałów w sprawie rezolucyi wniesionej przez Kronawettera, wzywającej rząd do uregulowania prawa patronatu i ukonstytuowania parafij: znalazł się bowiem w opozycyi z innym deputowanym polskim, Gniewoszem, który jako referent z trybuny przemawiał za przyjęciem rezolucyi. Ks. Czartoryski ganił zły zwyczaj załatwiania wielu spraw rezolucyami, które są tylko parlamentarnym środkiem usypiającym. Już w r. 1874 zwalczał on wraz ze swem stronnictwem ustawę, na mocy której poseł Kronawetter żąda obecnie regulacyi patronatu, uważając ją za nieuprawnione naruszenie autonomii Kościoła. Wprawdzie stosunki odnośne potrzebują reformy, lecz przeprowadzić ją należy z uwzględnieniem praw nabytych i właściwości stosunków w poszczególnych krajach.

Odpowiadając Czartoryskiemu, zauważył Gniewosz, że książę przemawiał chyba w imieniu jednako-myślących — klerykałów — nie zaś w imieniu Koła polskiego, którego regulamin wyklucza sprawy wyznaniowe. Niestosowną jest rzeczą powracać dziś do opozycyi przeciw ustawie uchwalonej w r. 1874. Takiego postępowania nie można nazwać konserwatywnem. Obecne stosunki parlamentarne nadają się właśnie do uregulowania tej sprawy; poruczając ją rządowi, można być przeświadczonym, że Kościół skrzywdzonym nie zostanie.

Jedna i druga przemowa była niepotrzebną; wiedziano poprzednio, że większość postanowiła rezolucyę odrzucić.

Przy tytule „szkoły przemysłowe" przemawiał ks. Czartoryski. Użalał się na brak opieki nad ukształceniem przemysłowem w Galicyi ze strony rządu, który nie uwzględnia wcale życzeń krajowej komisyi. Stary, galicyjski przemysł domowy reprezentuje tradycye krajowe, i życzyć by wypadało, aby rząd go popierał. W tym względzie Galicya zwraca się do zarządu centralnego z jedną tylko prośbą: nie przywozić nam obcych wzorów i obcych inspektorów. Natomiast w przemyśle fabrycznym, wytwarzającym towary na wywóz, pożądanem jest czynne poparcie rządowe. Zakończył mówca „życzeniem," aby przynajmniej część naglących potrzeb Galicyi uwzględnioną była, jeżeli nie w roku bieżącym, to w budżecie następnego.

Niespodziankę wyrządził Radzie państwa minister handlu i przemysłu, Bacquehem, występując z szerokim przedstawieniem zagadnień, jakie rozwiązać ma polityka ekonomiczna krajów europejskich w r. 1892. W roku tym upływają terminy najważniejszych traktatów handlowych, a rządy staną wobec pytania: czy odnowić układy, czy też zastrzedz sobie dowolność taryfy celnej. Wprawdzie, jak słusznie a z niezwykłą skromnością zauważył Bacquehem, nie od Austryi zależy decyzya w wielkiej walce ekonomiczno-politycznej: kwestye wolnego handlu i ceł ochronnych skupiają się dziś w ręku Francyi, a od postanowień jej parlamentu zależeć będzie charakter polityki handlowej innych państw. Doświadczenia poczynione w Austryi, nadwątliły silną dawniej dążność do stanowczego protekcyonalizmu. Wprawdzie nie przeprowadzono ściśle zasady taryfy autonomicznej, ale w ciągu lat dziesięciu trzy razy podniesiono cła, skutkiem czego stracono rynki niemieckie dla wytworów gospodarczych a rumuński—dla przemysłowych. Dziś nawet poseł Kozłowski, przemawiając w imieniu Koła polskiego, oświadczył się za polityką układów celnych. Dla usunięcia niebezpieczeństw konkurencyi amerykańskiej i indyjskiej, proponował stworzenie średnio europejskiej konwencyi. Mimo, że stronnictwo jego zajmuje stanowisko gospodarczej autonomii państwa, wskutek czego całkowitej unii celnej z Niemcami pochwalać nie może, godzi się ono na układ taryfowy z niemi, atoli z linią międzycłową. Dla rolnictwa galicyjskiego niezbędą jest opieka.

Namiętny nastrój zapanował w parlamencie z chwilą, w której przewodniczący oświadczył, że sprawa indemnizacyi galicyjskiej przyjdzie na porządek dzienny jeszcze w bieżącej sesyi. Ażeby zrozumieć zaciętość, z jaką prowadzono z obu stron walkę, zapoznać się należy z historyą tej sprawy, która stronnictwom przeciwnym tak odmiennie się przedstawia. Wiadomo, że jeszcze zanim w Austryi zniesiono pańszczyznę, szlachta galicyjska w r. 1847 oświadczyła gotowość uwłaszczenia ludności wiejskiej i w tym celu zwróciła się do rządu austryackiego. Namiestnik ówczesny, hr. Stadion, obawiając się, że aktem tym szlachta zaskarbi sobie sympatyę ludu, jak najusilniej rządowi odradzał przyjęcie jej propozycyi, zalecając natomiast (w listach istniejących i ogłoszonych), aby rząd użył tej sposobności do pozyskania ludu dla siebie i usposobienia go przeciw „niespokojnemu wiecznie żywiołowi szlacheckiemu." Istotnie też, w myśl tego dyplomaty, patent cesarski, ogłaszający zniesienie pańszczyzny, dla wszystkich innych krajów koronnych przepisał spłatę długu w formie dodatków do podatku głównego, Galicyę zaś uwolnił od długu względem państwa, nadmieniając wyraźnie, że z szczególnej dla ludu łaski obejmuje wykupienie go z pańszczyzny. Przez lat dziesięć rząd żadnych nie rościł sobie pretensyj; dopiero w r. 1857 zaczęto kwoty spłacane przez państwo corocznie uważać za bezprocentowe pożyczki udzielane krajowi; że zaś nikt nie myślał o ściągnięciu ich, przeto Galicya nie oponowała pretensyi. Wiedząc dobrze, na jak słabych podstawach opiera się roszczenie państwa, ministerstwo Auersperga a nawet Bacha proponowały układ. Tymczasem zapłaciło państwo 106 milionów, których zwrotu żąda dziś od Galicyi. Ona pretensyi tej nie uznaje, i byłoby też istotnie wypad-

---

Nieznajomy

przez

Matyldę Serao.

Śród mroków wieczoru palił się na kominie ogień. Od czasu do czasu płomieniem oświecał białą rękę, która go poruszała. W jednakich zatopione myślach, milczały trzy młode dziewczęta, a każda z nich marzyła, że jest samą w szerokiej, nieograniczonej przestrzeni, oderwana od świata i czasu. Wraz z gęstnieniem ciemności uczuwały one coraz większą chęć milczenia i zajmowania się swojemi myślami. Jedna z nich z odchyloną w tył głową, z zamkniętemi oczami, niby śpiąc, siedziała w fotelu; druga, owinięta w szal, ze spuszczoną głową, skuliła się w kącie sofy; trzecia pochyliła się przed kominem i rozgarniała ogień. Niepodobna było rozpoznać, czy to są blondynki, czy brunetki, piękne, czy brzydkie, zdrowe, czy chore; nie widać bowiem było nic, co najwyżej skraje sukien, które ogień od czasu do czasu oświecał odblaskami. Niewiadomym był ich wiek, stanowisko, nazwiska. Cienie w mrokach.

Po chwili milczenia jedna z nich zaczęła mówić, niezwrócona do nikogo, tylko do ciemności. Ile razy stawała się bardziej wzruszoną, głos jej był cichy, ledwie dosłyszalny.

„On kocha mnie. Dziwnego doznałam uczucia, spotkawszy go w szpitalu dziecinnym. Kobiety, mężczyźni, dzieci zebrali się na modlitwę do kaplicy: dwoje wychowańców przyjmowało pierwszą komunię. On stał ze spuszczoną głową. Nie wiem, czy się modlił, ale gdy spojrzałam na niego uważniej, widziałam, że porusza ustami. Jego jasna, seraficzna głowa nabierała miłego wdzięku w tej uroczystej chwili. Patrzył na mnie swojemi błyszczącemi, niebieskiemi oczami, a wzrok jego przejmował mnie rozkoszą. Nie mogło to być grzechem, gdyż modliłam się do Boga, który był również jego Bogiem; oboje czuliśmy się pociągnięci ku sobie tą samą boską miłością. Po skończeniu mszy, oddał on cześć ołtarzowi, ukłonił się mnie i wyszedł. W dzień Matki Boskiej — był to dzień jasny i piękny — otrzymałam od niego wspaniały bukiet z dzwonków majowych i lilii codziennej białości. Posłałam mu różaniec z drzewa sandałowego, którego paciorki przy dotknięciu palcami tak tajemniczo pachną. Teraz widujemy się zawsze w dni świąteczne na nieszporach w kościele. Oczekuje mnie przy drzwiach, podaje mi drżącą ręką wodę święconą i oboje jednocześnie żegnamy się. Chyba nie obrażamy Boga tą czystą miłością. Codziennie pisuje do mnie budujące listy, pełne wzniosłej poezyi, światła i duszy. Doprawdy, z jego ducha, uwięzionego w troskach ziemi, wybłyskują promienie ideału, którymi się ogrzewam i ożywiam. Kochamy się, bo kochamy jedno: gwiaździste niebo, wodę morza, gdy drży w świetle księżyca, szary marmur kościoła, zimną, twardą posadzkę, od której ranią się kolana. Kochamy się w chłodnych łzach, uspakających nasze nerwy i gaszących żar naszych ust, w szczęśliwych uśmiechach, unoszących nas ku nieskończoności, w naszej tęsknocie do przedmiotów wyższych, najwyższych."

Uniesienie zaparło jej głos — umilkła. Nikt jej nie odpowiedział. Ale po chwili druga podniosła głowę i zaczęła mówić w oderwanych, jak gdyby wyrzucanych zdaniach, głośno, nerwowo i ostro.

„On mnie kocha — ja kocham jego. Nie wiem jak i nie wiem dlaczego. Jest pięknym, ową urodą gorącą, młodzieńczo ognistą. Włosy układają mu się nad czołem potężnie, jak grzywa lwu. Brunatne jego oczy sidlają. Ustawicznie spoglądał na mnie w teatrze. Czułam, jak jego wzrok objął mnie i wypalał znaki na mojej twa-

kiem niesłychanym w dziejach, aby kraj jakiś sam ponosić miał koszta zastosowania doń zasady: *divide et impera*. Świat finansowy jednak pretensyę tę uważać musi za istniejącą, póki sprawy nie uregulowano: pozbawiała ona Galicyę kredytu. Że zaś, jak wiadomo, Galicya obecnie drogą konwersyi uporządkować chce swe stosunki finansowe, przeto pożądanem dla niej jest bezwłoczne usunięcie spornej pretensyi, chociażby połączone z ofiarami. Rząd znów, wiedząc dobrze, że w drodze procesu przed trybunałem państwa do zrealizowania żądań swych nigdyby nie doszedł, woli poprzestać na drobnej stosunkowo kwocie, ofiarowanej mu układem. Proces zresztą dla obu stron byłby niekorzystnym: mógłby on być wytoczony dopiero w r. 1898, do tego roku bowiem rząd zobowiązany jest ponosić koszta indemnizacyi; Galicya nie mogłaby przystąpić do uregulowania swych stosunków jeszcze przez lat dziewięć, a rząd, skoroby po długoletnim procesie w najlepszym razie miał na papierze wyrok, przyznający mu sumę znaczniejszą, nie mógłby go wyegzekwować na kraju potrzebującym pomocy finansowej. Krótki ten rzut oka na sprawę indemnizacyi wyjaśni czytelnikowi okoliczność, dlaczego stronnictwa Galicyi nieżyczliwe układ indemnizacyjny zowią podarunkiem, dlaczego na odwrót posłowie galicyjscy z większą racyą i z głębi przekonania twierdzą, że Galicya dla państwa czyni ofiarę.

Dwudniowe obrady, w których parlament austryacki załatwił indemnizacyę, wyświetliły sprawę tę ze stanowiska prawnego i historyczno-politycznego. Większość broniła wniosku rządowego, proponującego układ tej osnowy, że Galicya spłaci jeno 9 milionów złr., za co rząd z bajońskich swych sum rezygnuje, mniejszość zaś domagała się, aby sprawę wprowadzono do trybunału państwa, wiedząc, że wyjście takie byłoby zarówno niedogodne dla rządu, jak dla Galicyi. Minister Zaleski, przemawiając za układem, wystąpił po raz pierwszy jako mówca. Wykazywał on zgodność gabinetu Taaffego z poprzedniemi ministerstwami w sprawie indemnizacyjnej i kłopotliwe położenie, jakieby urosło dla państwa z przewleczenia tej sprawy. Potężne wrażenie wywarła mowa przewodniczącego Koła polskiego, Jaworskiego, a potęga jej tkwiła nietylko w zapale i w oratorskiej piękności, lecz przedewszystkiem w historycznej prawdzie, która w niej wystąpowała. Wbrew zarzutowi, że Galicya ciągle domaga się podarunków od państwa, wyjaśnił Jaworski, że Galicya więcej poniosła ofiar, niż którykolwiek z krajów tej korony. Aż do r. 1815 Austrya, nie będąc pewną trwałości nowego nabytku, plądrowała ją w sposób bezwzględny, pragnąc wydostać z niej jak najwięcej żołnierza i kapitału. Kiedy zaś po kongresie 1815 r. związek Galicyi z Austryą okazał się trwałym, rząd bynajmniej nie pomyślał o kojeniu ran zadanych: Galicyę uważano za ziemię obiecaną biurokracyi, która gospodarowała w niej tak, iż najpodrzędniejszy urzędniczyna na prowincyi prowadzić mógł życie zbytkowe. Szlachta galicyjska wysłała deputacyę do obozu cesarskiego, ofiarując bezpłatne uwolnienie chłopów od pańszczyzny: bezsumienna biurokracya przeszkodziła temu, a dziś stronnictwo, zowiące się liberalnem, broni postępowania tej biurokracyi na niekorzyść kraju dotkniętego moralnie ową polityką, dla której celu święcał środki. Spodziewano się po ugodzie czeskiej skutków dobroczynnych: lecz sądząc z przebiegu sprawy indemnizacyjnej, niepodobna polakom współdziałać z niemcami. Skoro mowa o podarunku, to układ jest podarunkiem Galicyi dla Austryi, który zmyć ma z dziejów ostatniej plamę indemnizacyi.

Łatwo wyobrazić sobie, jak przemowę tę przyjęto na ławach posłów niemieckich. Beer, Magg a głównie Lienbacher, który sam przez lat czterdzieści przeszło był urzędnikiem, protestowali przeciw znieważaniu biurokracyi austryackiej, atoli argumenty przytoczone przez nich były tak jałowymi, że najbezstronniejszy sprawozdawca pominąć je może. Bo cóż rzec np. o twierdzeniu, że jeśli niemieccy i czescy urzędnicy istotnie byli zdemoralizowanymi, tłomaczyć się to powinno jedynie wpływem atmosfery galicyjskiej?

Prawdziwą torturą dla nerwów posłów galicyjskich było głosowanie. Stronnictwo klerykalne w ostatniej chwili cofnęło się z sali, kiedy przyjęto głosowanie imienne; była chwila, w której ilość kartek za i przeciw okazywała się równą. Minister Zaleski, zbladł, a hr. Taaffe nerwowo kręcił wąsa: atoli członkowie t. zw. "trentoklubu" wraz z młodo-czechami przechylili szalę na korzyść wniosku rządowego i układ indemnizacyjny przeszedł większością dziewiętnastu głosów.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Znowu Bismark. Dawniej nie przyjmował on nawet dyplomatów i ażeby mu nie przeszkadzali swojem natręctwem, uciekał do Warzina lub Friedriechsruh; dziś ugaszcza chętnie nawet reporterów politycznych, co więcej — dyaloguje ze zmyślonymi. Niedawno jedna z gazet angielskich ogłosiła jego rozmowę z korespondentem, która wcale się nie odbyła. Bismark przesłał po prostu do redakcyi swoje odpowiedzi na niezadane mu pytania, które później dorobiono. W ostatnich czasach przyjął dwu sprawozdawców — francuskiego i ruskiego, każdego z nich upewnił, że był i jest zakochany w obu sąsiadkach — wschodniej i zachodniej — i zawsze dobrze im życzył. Nawet zaboru dwu prowincyj po wojnie francusko-pruskiej dokonał nie on, lecz „partya wojskowa,“ która ośmielona świetnemi zwycięztwami, żądała więcej, niż on, gotów skromnie poprzestać na „dolinie Renu.“ To, co p. des Houx — osobistość wątpliwej wiarogodności, gatunek wszędobylskiego i blagiera—spisuje z ust Bismarka, jest rzeczywiście w stylu bismarkowskim, ale trudno przypuścić, ażeby język b. kanclerza — mimo swego prywatnego charakteru i gniewu — mógł poruszać się wobec człowieka obcego z taką bezceremonialnością. Tak np. miał on nazwać cesarza niemieckiego młodym wyżłem, który wystawia motyle i skowronki zamiast zwierzyny, narwańcem, który wszędzie rozrzuca ogień, nie bacząc, że może wzniecić pożar; wkrótce budowa ma się zarysować i runąć w gruzy — itp. Tak daleko chyba jeszcze nowy Wallenstein nie poszedł — nawet pod wpływem morfinizmu czy alkoholizmu.

Większem prawdopodobieństwem brzmią wynurzenia do korespondenta *N. Wremieni*, bo przypominają dawne wywody Bismarka. Miał on rzec: „Zawsze byłem przeciwny wojnie z Rosyą... Zresztą, czego my potrzebujemy od niej, a ona od nas? Miliardów nawzajem sobie nie weźmiemy, dobrze byłoby, gdyby strona zwycięzka zdołała pokryć olbrzymie koszta wojenne, zdobycie zaś przez nas czegokolwiek za Memlem byłoby grzechem przeciw Niemcom. Ze strony Niemiec tedy nie widzę żadnej rozsądnej przyczyny, któraby uzasadniała podobne starcie. Jestem pewien, że nikt u was nie myśli o tem, ponieważ taka wojna nie przyniosłaby żadnej korzyści stronie zwyciężającej. Co się tyczy klucza do waszego domu, tj.

---

rzy, szyi i ramionach. Przycisnęłam chustkę do ust; dostrzegł to i spojrzał tryumfująco. Czekał na mnie przy schodach, ośmielił się uścisnąć mi rękę i ściągnąć z niej rękawiczkę. W nocy stał pod mojem oknem i spoglądał w górę; śnieg padał, ale my nie czuliśmy zimna. Odtąd życie moje burzy się nieskończoną tęsknotą, męczarnią, bólami i gwałtowną radością. Gdy go nie widzę, zdaje mi się, że czas stanął w gorącem pożądaniu być przy nim. Gdy się zobaczymy, niemiejemy ze wzburzonemi sercami, z gorejącemi rękami i ze zdławionym głosem. Jest to wrzenie miłości, która nas pędzi do obłędu. Listy jego są krótkie, pełne ostrych, ciętych zwrotów; pisze on je krwią swego serca a wydobywa się z nich szał jego potężnej miłości. Oboje nas dręczy pożerająca zazdrość, oboje, pijani bólem i miłością, staczamy się ku przepaści. Posiadamy jednakie, chorobliwe upodobania, lubimy krwawo czerwone kwiaty maków, ciemność i tragizm, krwawo czerwony zachód słońca, blady brzask, bagno, oddychające w skwarze wyziewami, świerszcze, ćwierkające do skonania w żarze słońca, czarne ćmy, ginące w płomieniu. Kochamy się: on jest moim poetą, ja — jego boginią. Ze mną i dla mnie wylewa on łzy; z nim i dla niego wybucham odurzającą radością. Czujemy, że żyjemy tylko dla jednego — dla miłości, że umieramy dla jednego — dla miłości. Ja burzę jego życie, on — moje.“

Przerwawszy, zatopiła twarz w dłoniach. Wtedy trzecia zaczęła mówić — spokojnie, głosem stłumionym.

„Kocha mnie i ja go kocham. Przynajmniej zapewnia mnie o tem co chwila i zdaje mi się, że za każdym razem kocham go na nowo. Nie jesteśmy wszakże jeszcze siebie pewni. On twierdzi, że nie wierzy w miłość i tym sposobem podkopuje moją w nią wiarę. Było to jednego dokuczliwego dnia w Akademii, kiedy pewien suchotniczy profesor usiłował nas przejąć udanym zapałem— on rzekł do mnie: „Wszystko to bardzo śmieszne.“ „Nadzwyczaj śmieszne“ — odparłam. Nigdy nie pisał do mnie listów i pisać nie będzie. Nie odpowiedziałabym mu. Nie wierzymy w listy miłosne. Nie dał mi ani promienia włosów, ani pierścionka, ani najmniejszego podarka. Gdy mu powiem, że go kocham, uśmiecha się wątpiąco i mówi: „Wiesz co, nie zadawaj sobie trudu, bo temu nie wierzę.“ Gdy przysięgam, że go lubię, pozwala mi mówić i powiada ostatecznie z uśmiechem: „Nie przysięgaj; ty nic nie wiesz; jest to możliwem, że mnie wcale nie kochasz.“ Nie blednieje i nie rumieni się, nie usiłuje mnie zobaczyć, nie siada przy mnie, nie ściska mi ręki i nie podaje swojej. Jedyną jego mową jest uśmiech. Do niczego się nie rozgrzewa się i nie zapala, nie obchodzi go ani sztuka, ani nauka, ani Bóg. W co inni wierzą, to on burzy i o tem wątpi. Prawdziwy apostoł sceptycyzmu. Jest silny i piękny. W jego prawie kocich, szarych oczach świeci metaliczny połysk spiżowej duszy. Jak gdyby był ze stali. Ani łzy, ani westchnienia nie pokonywają go. Odkąd go kocham, dusza moja podlega jego wpływowi i przekształca się. W co on nie wierzy, w to nie wierzę i ja. Co chce — czynię. W przystępie buntowniczego zuchwalstwa zapytałam go: „Dlaczego ty mnie nie kochasz“? Wahał się z odpowiedzią: „Kto to wie! Ja sam nie wiem! My nic nie wiemy.“ Powtarzam za nim: „Nic nie wiemy!“ Wtedy zapadamy w milczenie, rozmyślając nad nieskończonem wątpieniem naszych płonących dusz...“

Znowu zapanowała cisza w pokoju a w mrokach ginęło echo miłości trzech dziewcząt, tak między sobą różnych.

A jednakże mężczyzna, który je kochał, był — jeden i ten sam.

cieśnin, gdyby istniały wśród was pewne w tym względzie zamiary, to kwestya ta interesuje nietylko Niemcy, lecz i Anglię, Austryę, Włochy, Francyę itd.; wynika stąd, że oskarżenie Niemiec o specyalne szkodzenie Rosyi w Konstantynopolu jest niesłusznem, tem więcej, iż żadnemu z monarchów niemieckich nie wybaczonoby polityki sułtańskiej. Błąd wasz polega na tem, że wy nieustannie na coś czekacie od nas, a przecież nie naszą jest rzeczą pracować dla Rosyi lub Austryi. Nie możemy bowiem powiedzieć sułtanowi: zrób to dla nich. Zresztą, czyż żądaliśmy od was, abyście za nas troszczyli się w swoim czasie w Paryżu? Co do Bułgaryi, to mniemam, że Niemcy mają tam mniej jeszcze interesu, niż w Konstantynopolu. Przeciwnie, zawsze uważaliśmy Bułgaryę *du côte russe* i w tym względzie składałem masę dowodów. Wasz Battenberg nigdy nie byłby przyjęty na kongresie berlińskim, gdyby nie był kandydatem ruskim. Z czasem stał on się *infidel und untreu* i to tylko pozbawiło go tronu. Przedtem popieraliście go wy, a nie ja, kiedy zaś książę rozwinął swój sztandar, któż to, jeżeli nie ja wbrew życzeniu cesarza Fryderyka *mit Nägel und Zähnen* przeszkodziłem ks. Battenbergowi w projektach małżeńskich z księżniczką niemiecką."

Wszystko to być może, nie straci wszakże nic ten, kto to między bajki włoży. W wyznaniach Bismarka jedno jest prawdą: że wszechwładztwa swego żałuje i „tęskni do polityki, z którą się żył." Niechże tęskni do śmierci.

Deputowany francuski Dreyfuss ogłosił broszurę p. t. *Guerre necessaire*, w której radzi uderzyć na Niemcy, bo w tej chwili Francya posiada przewagę wojskową. Bądźmy spokojni: miłą dla niej jest Alzacya i Lotaryngia, ale milszą bezpieczna skóra. Ryzykowny to interes — pewniejszy... wystawy.

Czeski sejm ugodowy rozpoczął swoje obrady: podobno młodo-czesi zaczynają mięknąć, a niemcy znowu twardnieć.

Sprawa indemnizacyi galicyjskiej została rozstrzygniętą w Izbie Panów według uchwały Rady państwa.

Proces Panicy nie dobiegł jeszcze do końca — ex-król Milan wrócił do Belgradu.

BADANIA NAUKOWE.

ZWIĄZEK ZJAWISK W CZASIE I PRZESTRZENI.

I.

Ustęp z dziejów nauki.

Wyznanie wiary nowoczesnego przyrodoznawstwa wygłosił Laplace w następującem, często cytowanem zdaniu: „Powinniśmy obecny stan wszechświata rozważać jako skutek jego stanu poprzedniego i jako przyczynę następującego. Duch, któryby na jedną bodaj chwilę znał wszystkie siły, ożywiające przyrodę, oraz względne położenie składających ją bytów, gdyby zresztą był dosyć rozległy, aby poddać wszystkie te wiadome analizie, objąłby tą samą formułą ruchy największych ciał wszechświata i najlżejszego atomu: nic nie byłoby dlań niepewne, zarówno przyszłość, jak i przeszłość leżałaby otwarta przed jego oczyma..." Zdanie to wyraża tylko w słowach mechanicznego poglądu na świat zasadę przyczynowości, według której raz dane warunki określają w sposób jednoznaczny następne wydarzenia. I jakkolwiek, z powodu niemożności zadośćuczynienia żądanym wymaganiom, przewidywanie biegu rzeczy całego wszechświata prawdopodobnie nigdy nie będzie urzeczywistnione, a więc rzetelność zasady w całej jej rozległości dowiedziona, to jednak przyrodoznawstwo powierza się jej naczelnemu kierownictwu, mówiąc sobie: pod tym znakiem zwyciężysz. Atoli większa lub mniejsza możność samego już zbliżania się do doskonałości ducha Laplace'owskiego, przy rozważaniu nawet ułamkowej części wszechświata, warunkuje się w znacznej mierze rodzajem przyjmowanego przez nas związku zjawisk w czasie i przestrzeni, zależy od tego, czy uważamy ów związek za ciągły, przejawiający się od elementu do elementu (czasu i przestrzeni), czy też za przerywany. Albo innemi słowy — czy do przewidzenia zmian następnej chwili, jakie zajdą w rozważanem ciele, znajdującem się w danem miejscu przestrzeni, wystarcza już znajomość zmian w poprzedniej chwili czasu i w bezpośrednio polegających częściach przestrzeni, czy też nie?

Otóż co się tyczy czasu, to powyższy pogląd Laplace'a odpowiada na ostatnie pytanie twierdząco, co zaś do przestrzeni—przecząco. Zgodnie z tem przyjmują dzisiaj, że stan obecny — to, co właśnie w danej chwili zachodzi — jest zupełnie określającą przyczyną tego, co w następnej chwili się odbędzie, że więc w postępowym łańcuchu zjawisk każde poszczególne ogniwo samodzielnie i w całym swym zakresie uwarunkowane jest tylko bezpośrednio poprzedzającem ogniwem. Natomiast wielu jeszcze utrzymuje, zarówno co do świata kosmicznego, jak i cząsteczkowego, że ciała wzajemnie na siebie oddziaływają z odległości, bez wszelkiego pośrednictwa jakiegoś środka, że np. pomiędzy ciałami niebieskiemi, pomiędzy cząsteczkami lub atomami nie zachodzi nic takiego, coby warunkowało ich ruchy. W nowszej atoli fizyce coraz silniej przejawia się dążność wszechstronnego przeprowadzenia zasady ciągłości zjawisk tak, ażeby obejmowała również stosunki przestrzenne, zasady, według której wszelkie działania „teleskopowe"— jak powiada C. Neumann — byłyby sprowadzone do „miskropowych," udzielających się bez przerwy od elementu do elementu przestrzeni, tak samo, jak to przyjęto już dla czasu*). Dążność ta rozbija się jeszcze głównie o fikcyę „działania z odległości," której rodowód przedstawia tyle filozoficznego interesu i zarazem jest tak ważny dla zasady ciągłości zjawisk w przestrzeni, zasady, niedającej się naturalnie przeprowadzić bez usunięcia tej fikcyi, że musimy się nad nią nieco bliżej zastanowić.

Przy schyłku XVII wieku powszechnie wychodzono z apriorystycznego poglądu, przejętego od starożytnych, że „ciało nie może działać tam, gdzie go niema," że więc ruchy innego ciała może ono warunkować tylko przy bezpośredniem zetknięciu, przez uderzenie i rzecz taka, jak wzajemne przyciąganie się dwóch oddalonych od siebie ciał bez udziału jakiegoś środka, wydawała się niemożliwą. Zdanie to podzielał także Newton, gdy więc ogłosił prawo ciążenia powszechnego, orzekające, że dwa ciała zbliżają się albo dążą do wzajemnego zbliżenia (krócej wyrażamy to mówiąc: przyciągają się wzajemnie z siłą, wprost proporcyonalną do ich mas i odwrotnie proporcyonalną do kwadratu z odległości), to zarazem wyraźnie zastrzegł się przeciw posądzeniu, jakoby uważał ciężkość za zasadniczą własność materyi, jakoby przypuszczał, iż przyciąganie się ciał stanowi ostateczny fakt fizyczny. Siła, pchająca ciało ku sobie, była dlań, jak to wyjaśnia w *Principiach*, pojęciem czysto matematycznem, niezawierającem żadnego domysłu co do odnośnej przyczyny fizycznej. W przewidywaniu niejako nadużyć, które mogły być dokonane w jego imieniu, powiada on jeszcze w końcu wielkiego swego dzieła: „Przyczyny (rationem) tych własności ciążenia dotychczas nie zdołałem wyprowadzić, hypotez zaś nie wynajduję." Zastrzeżenia te atoli na nic się nie zdały: współcześnicy Newtona — pierwszorzędni myśliciele — uderzyli w dzwon alarmu z powodu rzekomego powrotu utajonych jakości (qualitates occultae) do nauki i z niebywałem uniesieniem protestowali przeciw przypuszczeniu fizycznego „działania na odległość." Huyghens nie wahał się oświadczyć, że „Newtonowska zasada przyciągania wydaje mu się niedorzeczną," Leibnic nazywał ją „niecielesną jakąś i niewytłomaczalną potęgą;" uznawali oni zresztą wielką doniosłość samego prawa ciążenia, nie chcieli tylko zgodzić się na to, aby ciała przyciągały się wzajemnie bez pośrednictwa jakiegoś środka. Inaczej kartezyanie. Już mistrz ich, rozważając prawa spadku ciał, odkryte przez Galileusza, powiedział był „że to, co badacz włoski mówi o prędkości ciał, spadających w próżni, niema żadnej podstawy; powinien był bowiem wprzód określić, czem jest ciężkość, a gdyby był pojął jej istotę, przekonałby się, że w próżni niema jej wcale." *). Idąc w ślady Descartes'a, tłomaczyli oni — fałszywie — ruchy ciał niebieskich za pomocą wirów hypotetycznej, subtelnej materyi (eteru), wypełniającej całą przestrzeń; a gdy uczony angielski głosił, iż objawy ciężkości stanowią tylko szczegółowy wypadek ciążenia, wtedy, „wylewając dziecko z kąpielą," odrzucili oni wraz z „niedorzecznem działaniem na odległość," jakoby przyjmowanem przez Newtona, odkryte przezeń prawo. Protest ten z kolei jeszcze więcej rozjątrzył stronników przeciwnego obozu tak, że jeden z nich, Roger Cotes, w przedmowie do drugiego wydania *Principiów* wprost kategorycznie oświadczył, iż „działanie na odległość" stanowi zasadniczą własność materyi, której to własności już dalej wyjaśnić nie można, jest bowiem pierwszą przyczyną, przez Stwórcę materyi nadaną.

Spór ten należy do najciekawszych w dziejach nauki i doskonale uwydatnia trzy odwiecznie powtarzające się w niej typy. Newton, jako ścisły uczony, uważa tylko zjawisko za rzecz daną, bada je i odkrywa wielce doniosłe prawo ciążenia powszechnego, a jeżeli o fizycznej jego przyczynie nie zachowuje „złotego" milczenia, to przynajmniej wypowiada w tej mierze „srebrne" słowa. Przeciwnie, kartezyanie postępują przytem jak ów metafizyk w bajce, który, wpadłszy do dołu, nie chciał użyć pomocy rzuconego mu sznura, dopóki nie pozna jego istoty — i wolą snuć przędzę hypotez wątpliwej wartości, aniżeli dzierżyć mocny sznur faktów. Nareszcie Cotes, wolny od przystępów sceptycyzmu, uważa za rzecz pewną to, co inni właśnie kwestyonują i tamując polot badawczego ducha nowym dogmatem. Jego to, a nie Newtona uważać należy za właściwego twórcę fikcyi działania z odległości, na dowód czego może służyć okoliczność, że ten ostatni, daleki od uznania ciężkości za zasadniczą własność ciał, usiłował ją raczej wytłomaczyć za pomocą działań wszystko przenikającego eteru świetlnego, lecz nie przywiązywał wielkiej wagi do tych prób z powodu braku odnośnych doświadczeń.

Zapatrywanie jego w tej mierze jeszcze wyraźniej przebija się w następujących słowach, pisanych do Bentley'a: „Niepodobna pojąć, ażeby martwa, gruba materya... mogła działać na inną materyę bez wzajemnego zetknięcia... Myśl, że ciężkość jest wrodzoną, przynależną i zasadniczą własnością materyi, tak, iż jedno ciało może działać na inne, znajdujące się w pewnej odeń odległości, poprzez próżną przestrzeń, bez pośrednictwa czegoś, przenoszącego siłę i działanie z jednego na drugie — wydaje mi się tak niedorzeczną, że żaden człowiek,

*) Planck, *Das Princip der Erhaltung der Energie*, końcowy ustęp dzieła.

*) Szczegóły powyższe czerpałem z dzieła Stallo *The concepts and theories of modern physics*, oraz z odczytu prof. Fabiana „O pojęciu grawitacyi," drukowanego w *Kosmosie* lwowskim za r. 1882, str. 56—66.

zdolny do rozmyśliwania nad przedmiotami filozofii, nie może, jak sądzę, wpaść na nią. Ciążenie musi być powodowane przez jakiś czynnik, stale działający według pewnych praw..." W tym więc względzie nie było różnicy zdań pomiędzy wybitniejszymi myślicielami XVII wieku, a i wielu późniejszych wypowiedziało się w podobnym, mniej więcej, duchu.

Postępowanie Newtona — zwłaszcza od chwili, gdy Laplace, opierając się na prawie, odkrytem przez badacza angielskiego, systematycznie opracował mechanikę niebieską — stało się regulującem w nauce: zrozumiano, iż przedewszystkiem należy badać prawa działających sił, zanim się przystąpi do wyjaśnienia sposobu, w jaki te ostatnie przenoszą się z jednego ciała na drugie. Na tej właśnie drodze Cavendish, Coulomb i Poisson ustalili prawo przyciągania, względnie odpychania się ciał naelektryzowanych lub namagnesowanych, orzekające również, że odnośne siły są odwrotnie proporcyonalne do kwadratu z odległości. A ponieważ i tu pomiędzy oddziaływającemi na siebie ciałami nie spostrzeżono żadnych procesów, mogących powodować ich ruchy ku sobie albo od siebie, podciągnięto więc i te zjawiska pod działanie z odległości. Badacze ci—powiada Maxwell — na chwilę przytem nie wątpili o rzetelności tej fikcyi; co więcej, uważaliby oni nawet wynalezienie środka, pośredniczącego w przenoszeniu się owych działań, za skomplikowanie raczej, niż za uproszczenie całej sprawy. Wobec tego nie można się dziwić, że rezultaty, zyskane dzięki płodności samej metody: badania zjawisk i wykrywania ich praw bez tymczasowego uwzględnienia odnośnych przyczyn fizycznych — przypisano pożyteczności fikcyi „działania na odległość," a nawet z biegiem czasu niektórzy tak się z nią oswoili, iż zaczęli ją wrost uważać za rzecz dowiedzioną, jak to, pomiędzy innymi, uczynił Mill.

Przytoczywszy powyższe słowa z listu Newtona do Bentleya (bez ostatniego zdania), Mill dodaje od siebie, iż „warto je wyryć wielkiemi literami na tablicy i zawiesić w gabinecie każdego uczonego, jako przestrogę na wypadek, gdyby miał ulegać pokusie uznania jakiegoś *faktu* (umyślnie podkreślamy ten wyraz) za niemożliwy dlatego, że nie może go sobie pomyśleć, że nie może go pojąć... Obecnie nikt (?) nie znajduje najmniejszej trudności w tem, ażeby pomyśleć sobie ciężkość, na równi z innemi cechami, jako wrodzoną, przynależną i zasadniczą własność materyi..." *). Zdaje mi się, że Mill jest tu w błędzie. Czyż bowiem „działanie na odległość" w objawach ciążenia powszechnego istotnie jest faktem? Bynajmniej. Ciała, oddalone od siebie, jak słońce i ziemia, ziemia i księżyc itd. przyciągają się, w pojęciu przez nas wyłuszczonem znaczeniu tego wyrazu, albo, inaczej, warunkują wzajemnie swe ruchy ku sobie — jest to wielokrotnie stwierdzony fakt, którego uogólnienie wyrażamy właśnie, w sposób bardzo ścisły, prawem Newtona. Czy atoli wzajemne te oddziaływania uskuteczniają się bezpośrednio na odległość poprzez próżną przestrzeń, czy też za pomocą jakiegoś ewentualnego środka— tego na razie nie wiemy. Możemy więc w tej mierze stawiać tylko pewne wnioski, albo też hypotezy, których znowu jedynem zadaniem jest pomódz nam zyskać nowe, albo sprządz znane już fakty, lecz należące do odmiennych grup zjawisk. Pod tym zaś względem rozbierana tu fikcya okazała się bezpłodną, chybia więc celu i musi ustąpić miejsca innym, płodniejszym w tej mierze hypotezom. Rzecz tę rozważymy w następnym artykule.

Henryk Silberstein.

*) *Logika*, t. II, str. 334—35 (przekł. niem. Schiela).

„DOBRO SPOŁECZNE I UCZCIWA WIEDZA."

Dla statystyki, dla nauki było to rzeczywiście ważnem, czy ze 100 osób pokąsanych przez psy wściekłe umiera 8, 10 lub więcej, ale dla ludzkości procenty te nie miały prawie żadnego znaczenia. Nikt, dotknięty takim wypadkiem, nie miał nawet złudzeń gracza na loteryi lub żołnierza w bitwie; każdy przypuszczał, że go śmierć nie ominie i — nawet ocalony — żył długo w drżącym, rozpaczliwym strachu. Widywano ludzi zgnębionych niepewnością i obawą, spisujących testamenty, żegnających się z krewnymi i przyjaciółmi, torturowanych złudzeniami, przez całe miesiące wyczekujących okropnej chwili, która da im znak nieodwołalnego zgonu. A taka tkwiła tragedya w tych zdarzeniach, że pomimo ich rzadkości we wszystkich społeczeństwach utrzymywała się pamięć nieustającej trwogi. Nic też dziwnego, że gdy z Paryża wybiegła wieść o wynalezieniu przez Pasteura środka ochronnego przeciw wściekliźnie, powitano tę radosną nowinę z nadzwyczajnym zapałem i natychmiast skorzystano z pomysłu i owocu dociekań badacza francuskiego. Rozwinął się szeroki ruch naukowy, wszędzie zaczęto otwierać pracownie i kliniki, a w samym Paryżu z ofiar międzynarodowych ufundowano wspaniały Instytut i oddano go Pasteurowi do dalszych doświadczeń.

Szybko objawiła się opozycya przeciwko nowej myśli. Występowała ona mniej lub więcej poważnie, walczyła argumentami naukowymi lub dyalektyką a nawet plotkarstwem i kłamstwami, ale nie zdołała osłabić w społeczeństwach ufności do nowej metody, bo nie przedstawiła dostatecznie przekonywających dowodów, bo nie dawała w zamian środka pewniejszego, bo wreszcie ogół, z powodów psychologicznie zrozumiałych bacznie śledzący walkę, widział ze strony Pasteura i jego zwolenników ciągły postęp, ciągłe udoskonalenia i coraz lepsze wyniki, podczas gdy z drugiej strony dostrzegał przeważnie gadaninę a w najlepszym razie — przyznanie się do bezradności. Według nieścisłego, ale przyjętego rachunku, na 100 osób, pokąsanych przez zwierzęta wściekłe, dostaje choroby i ginie 8 do 10. Tymczasem według *Annales de l'Institut Pasteur* (marzec) na 100 osób, pokąsanych w r. 1889 przez zwierzęta z wścieklizną skonstatowaną, po szczepieniach ochronnych zmarło (wliczając nawet przybyłe za późno) 0·25, podczas gdy w r. 1886 — 1·24. Charakterystycznym jest fakt, że największy procent śmiertelności (w 1886— 1·35, w 1889 — 1.00) objawił się w wypadkach pokąsania przez zwierzęta tylko podejrzane o wściekliznę, a to dlatego, że w nich najczęściej leczenie było spóźnione.

Pomysł Pasteura przyjął się na naszym gruncie bardzo prędko. Dr. Bujwid, dzięki zachęcie Chałubińskiego, po zaznajomieniu się z nową teoryą u jej mistrza, z ciężkim a wielkiego uznania godnym wysiłkiem własnych środków, bez żadnej zapomogi, otworzył pracownię i lecznicę, gdzie zaczął dokonywać szczepień ochronnych. Zmieniając i ulepszając metodę według doświadczeń, otrzymał on rezultaty, które swą kolonij pasteryzmu należą do najpomyślniejszych (0·5% śmiertelności). Przeciwko samej zasadzie tych szczepień i jego pracy odzywały się głosy wątpiące, ale nie wytworzyły one poważnego i gruntownego ataku. Dopiero w jednym z listopadowych numerów *Medycyny* dr. Rybicki ze Skierniewic rozpoczął „w interesie dobra społecznego i uczciwej wiedzy" dotąd trwającą kampanię, która ma pozory krytyki naukowej i zarówno swym przebiegiem, jak i skutkami skłania nas do zajęcia się tą sprawą o ile na to pozwalają warunki programu *Prawdy*. Poniżej wyjaśnimy, dlaczego łamy jej uważamy za właściwe do wytoczenia tego specyalnego sporu.

Zapewne czytelnicy mniemają, że dr. R. wystąpił do walki uzbrojony odpowiednią wiedzą i wynikami badań własnych; nie, przedstawił się sam, jako „przeciętny lekarz prowincyonalny, który, choćby chciał, nie może być przygotowany do krytykowania metody za tak poważną uznanej." Wprawdzie zwiedził on Instytut Pasteura w Paryżu, ale tam mu tylko pokazano wnętrze gmachu. Zdawałoby się, że wobec tak skromnego o swych siłach wyobrażenia, dr. R. powinienby albo „przygotować się dostatecznie do krytykowania," albo zrzec się go; tymczasem on wyciągnął sobie wniosek inny, logicznie nieoczekiwany: uznał się niekompetentnym do sądzenia metody i odsądził ją od czci i wiary. Gorszy go naprzód to, że pomimo rzadkości wścieklizny ludzie „zakładają osobne instytuty, ba nawet tworzą oddzielnych specyalistów." Zrozumiałby on te ofiary dopiero wtedy, gdyby ona groziła „zagładą całych społeczeństw." W Prusach zdarza się około 71 wypadków rocznie — cóż to znaczy! Wprawdzie tam jeszcze mniej zdarza się zgonów na śmierć, a jednakże naród ponosi daleko większe ofiary dla zapobieżenia zbrodniom w ten sposób karanym; wprawdzie owych 71 wypadków utrzymuje w trwodze miliony; wprawdzie nieznajomość astronomii również nie grozi „zagładą całych społeczeństw," a jednakże one „zakładają kosztowne ...obserwatorya, ba, nawet tworzą oddzielnych specyalistów;" wprawdzie Instytut Pasteura i inne podobne pracownie nie służą wyłącznie do szczepień ochronnych przeciw wściekliźnie, lecz także do niezmiernie ważnych badań bakteryologicznych— wszystkie te jednak względy i poważania d-ra R. nic a nic nie obchodzą. Zbija on przesąd, jakoby wszyscy ludzie pokąsani przez zwierzęta wściekłe koniecznie wściec się musieli. Już zwierzęta posiadają znaczną pod tym względem odporność, a jeszcze większą ludzie; skoro zaś ci ostatni wogóle dają zaledwie 8 zarażonych na 100 pokąsanych, więc „kuracya 92 jest co najmniej zbyteczną." Zapomniał tylko dr. R. wskazać, jak owych 8 śród 100 rozpoznać. Ponieważ szczepienia metodą Pasteura nie są lecznicze, tylko ochronne, zwrócone nie przeciw chorobie istniejącej, lecz możliwej, przeto zdaniem krytyka należałoby je tolerować „tylko wtedy, *gdyby* środek proponowany był zupełnie niewinnym, tego zaś o *najbardziej* rozcieńczonym jadzie wścieklizny powiedzieć nie można, boć przecie posiada on w sobie zarazki zabójcze." Ale chociaż dr. R. nie uważa tego „nawet najbardziej rozcieńczonego jadu" za „niewinny," chociaż „obawia się, ażeby szczepienie wścieklizny nie skończyło się kiedyś fatalnie," mimo to wszystko, dopóki jego wątpliwości nie zostaną rozjaśnione, „zmuszony będzie nadal utrzymywać, iż pacyenci, leczeni metodą Pasteura, jeśli wyszli bez szkody, to tylko dlatego, że metoda ta jest *niewinną*." Zgadnijże, biedny Pasteurze, czem cię bija!

W tym pierwszym liście znajdowała się również grzeczna, tonem poważnej dyskusyi usprawiedliwiona apostrofa do „tego pana," który u nas szczepieniami się zajmuje. Otóż „ten pan," inaczej dr. Bujwid odpowiedział przeciwnikowi ściśle naukowym wykładem teoryi (jeśli mnie pamięć nie myli — znanej w głównych zarysach czytelnikom *Prawdy*). Naturalnie odpowiedź ta nie mogła zadowolić d-ra R., który szukając „uczciwej wiedzy," w własnych „wątpliwościach" znalazł cudzy szwindel. Nie było w niej bowiem ani słowa o mopsie Hertwiga, któremu 9 razy szczepiono wściekliznę bezskutecznie i który występuje w akcie oskarżenia d-ra R. jako klasyczny świadek przeciw Pasteurowi, ani dowodu, że pokąsani, leczeni i zdrowi, są zdrowi dzięki własnej odporności, a nie dzięki szczepieniom, ani wogóle tego wszystkiego,

co krytyk chciał mieć przyznanem. Gdy mu przedstawiono wyniki badań doświadczalnych, oznajmił, że „ustrój zwierzęcy ma swe właściwości różne od człowieczych, że doświadczenia stwierdzone na 84 psach tylko (!) nie uzasadniają do przedsiębrania prób na ludziach“ itd. — jak gdyby jemu czasem jeden mops do stanowczych twierdzeń nie wystarczał. Nic go nie przekonywa i nie rozbrąja, co przemawia za szczepieniami, a wszystko wydaje mu się niewzruszonem, co przeciw nim świadczy, najwątpliwsze i nabardziej podejrzane doniesienia mają dlań moc faktów sprawdzonych i zaprzysiężonych, pisanie ciągłe o wściekliznie zakrawa mu „na reklamę“ a „sukcesy metody Pasteura są niczem więcej jak złudzeniem.“ Natarczywie żąda on od jej wyznawców, ażeby mu wyjaśnili, jakim sposobem bakterye jadu później wstrzykniętego mogą prześcignąć w biegu po nerwach bakterye jadu wcześniej wprowadzonego przez ukąszenie i ubezpieczyć przeciw ich działaniu organizm—chociaż zapewne uczułby trudność wytłomaczenia, jakim sposobem chinina obniża gorączkę, czemu jednak z doświadczenia wierzy; bez pardonu wymaga, ażeby mu śród pokąsanych wskazano *przed* szczepieniami tych, którzy niewątpliwie ulegną wściekliznie a wyzdrowieją po kuracyi i — jako „jedyną racyonalną pomoc“ — *nawet w wypadkach zadawnionych*“ zaleca przyżeganie ran. Tę jedyną „racyonalną pomoc“ Bujwid nazwał zbyteczną, ktoś inny mógłby tę nazwę ochrzcić mianem najgrzeczniejszej. Boć trudno wymagać od ludzi logicznie myślących, ażeby oni uwierzyli, że „jedyną racyonalną pomocą“ jest wypalanie miejsca ukąszonego przez zwierzę wściekłe po kilku dniach; trudno przypuścić, ażeby bakterye w tem miejscu odpoczywały i czekały na zniszczenie, a nie wędrowały dalej; trudno pojąć samą manipulacyę przyżegania ran wielkich, kiedy np. wilk oskalpuje głowę człowieka, wyrwie mu ucho z policzkiem itd., kiedy tak pokaleczonego należałoby chyba włożyć w piec hutniczy. Na wszystkie te wątpliwości dr. R. jest nieczułym, nawet ich nie porusza. Uznał przyżeganie za „jedyną pomoc racyonalną,“ temu, że jakaś kobieta po zastosowaniu tego środka umarła — nie wierzy, przypuszczając, iż umarła nie z wodowstrętu, ale z drgawek połogowych (chociaż „żaden lekarz nie był do niej wzywanym“) — i basta!

„Ten pan“ znowu odpowiedział— naszem zdaniem bezpotrzebnie. Dr. Bujwid powinien był zrozumieć, że wszyscy święci z nieba nie rozproszą „wątpliwości“ jego przeciwnika, że była to tylko gra w ślepą babkę. Przyznajemy jednakże, iż dr. R. w swej replice sprawił nam prawdziwą niespodziankę. Takiego finału niepodobna było oczekiwać nawet od tej polemiki. Sądziliśmy bowiem, że on jeszcze raz ośmieszy Pasteura z uczniami, a mopsowi Hertwiga każe na nich szyderczo szczekać, tymczasem postawił ich pod pręgierzem, a sam wezwał kolegów do zbierania materyału statystycznego z... przeszłości. Nieprawdopodobne to, a jednak prawdziwe, więc posłuchajcie.

W tej trzeciej pieśni wybija dr. R. jeszcze mocniej tony poprzednich. Wprawdzie przyznaje on Pasteurowi zasługę udowodnienia na ludziach, że „drobne ilości zarazka wścieklizny znoszą się *bezkarnie*“ — tego samego zarazka, który „nawet w najbardziej rozcieńczonym jadzie“ przedstawiał mu się „zabójczym“; ale rzucając proroczem okiem w przyszłość i dostrzegając w niej możliwą „katastrofę“ (której na nieszczęście bliżej nie określa), ostrzega lekarzy, ażeby „z zamkniętemi oczami nie tolerowali metody *tak niebezpiecznej* w skutkach“ — tej samej, którą poprzednio uważał za *niewinną*. Już w pierwszym wylewie „wątpliwości“ spłynęła mu z pióra następująca hipoteza: „*A może* twórcom metody leczenia wścieklizny i jej zwolennikom *chodziło poprostu o wymyślenie niewinnego środka*, uspakajającego ród ludzki“? Według tego więc przypuszczenia Pasteur, badacz genialny, który otworzył nową epokę w nauce, wpadł pewnego dnia na koncept uspokojenia obaw ludzkości bałamutnym środkiem, dającym się — według dr. R. — z większą bezkarnością a równym skutkiem zastąpić „przekroploną wodą.“ Ale jak się dalej okazuje, znakomity uczony francuski, który złożył tyle dowodów ścisłości i sumienności w swych doświadczeniach, wymyśliwszy kuglarstwo, usiłuje go bronić oszustwem. Bo gdy Bujwid powołał się na jego *Roczniki*, dr. R. oświadczył, że pisma tego „studyować nie będzie,“ gdyż — proszę mi wierzyć, że przytaczam dosłownie—jest ono dla niego „zbyt specyalne,“ a nadto „redagowane niewątpliwie *pro domo sua*.“ To znaczy, że Pasteur, mając zupełną świadomość, iż jego szczepienia ochronne wścieklizny są szkodliwe lub co najmniej bezskuteczne, pragnąc je obronić i utrzymać, podrabia fakty, fałszuje obliczenia i wydobywa z nich urojone odsetki pomyślnych wyników metody, słowem wytwarza materyał dowodowy podejrzany i kłamliwy — krótko mówiąc — wielkimi krokami idzie do szubienicy.

Cóż robi dr. Rybicki dla uratowania ludzkości od możliwej „katastrofy“? Praktycznie — wszelkie, *nawet zadawnione* rany od ukąszeń zwierząt wściekłych przyżega, teoretycznie zaś — wzywa kolegów, ażeby mu z pamięci dostarczyli danych statystycznych o wypadkach wścieklizny z przed r. 1886 (zastosowanie metody Pasteura) i od tej daty. Kwestyonaryusz ten jest jednym z najpyszniejszych objawów mimowolnego humoru. Pomijając bowiem nawet to, że wiedza prawdziwa wymaga naprzód zbierania danych, a potem dopiero opierania na nich twierdzeń, nie zaś odwrotnie; że dr. R. powinien był od tego zacząć, na czem skończył; że odsądziwszy metodę od czci i wiary na podstawie faktów mu znanych, nie potrzebuje już nowych; że odrzucając uparcie wszelkie dowody przeciwne jego „wątpliwościom,“ nie daje rękojmi bezstronnego i przedmiotowego sądzenia—pomyślmy tylko, co wartą byłaby taka „statystyka,“ układana ze wspomnień sięgających wstecz o dziesiątki lat? Czy jest poważny uczony, któryby takiemu materyałowi przyznał jakąkolwiek wiarogodność i wagę? Jeden ze znakomitych lekarzy trafnie wyraził się, że statystyka jest lasem, który tak odpowie echem, jak ktoś weń krzyknie. Jeżeli zaś ona ma dla nauki znaczenie narzędzia pomocniczego, to tylko o tyle, o ile jej cyfry są pewne, zbierane współczesnie, umiejętnie i bacznie. Czy zaś tu jest możliwe zastąpienie naoczności pamięcią i dopełnienie wszystkich warunków badania ścisłego? Który lekarz (niezajmujący się specyalnie tym przedmiotem) zdoła sumiennie zliczyć i objaśnić wypadki z przed dziesięciu lub piętnastu laty, często znane mu zaledwie z cudzych gadanin i wieści? Dr. R. nie wierzy wykazom pracowni doświadczalnych — a chce wierzyć wspomnieniom swych kolegów, zapewnia, że one go „przekonają“ — to nie nauka, ale humorystyka.

W uwagach powyższych ledwie pobieżnie i częściowo dotknęliśmy samego przedmiotu, tj. zasadności i skuteczności szczepień ochronnych przeciw wściekliznie; pozostawiając bowiem tę sprawę specyalnym badaczom i ich wydawnictwom, chcieliśmy tylko oświetlić te manowce, na które się u nas z lekkiem sercem i sumieniem wprowadza „dobro społeczne i uczciwą wiedzę.“ Pełną sprzecznych, bezpodstawnych i nieopatrznych mniemań filipikę dr. Rybickiego puścilibyśmy mimo uwagi, gdyby mętne i szkodliwe jej krople nie przesiąknęły do pism czytanych przez szerokie koła ludzi.

Oto dr. Just, redaktor *Encyklopedyi hygienicznej*, rojącej się błędami naukowymi, które mu (dziwny zbieg wypadków) wykazał Bujwid, przelał wyskok „wątpliwości“ dr. Rybickiego w kolumny *Kuryera codziennego* i oświadczył stanowczo ogółowi, że metoda Pasteura jest szkodliwą blagą. Gdyby medycyna miała dla pokonania wścieklizny bodaj tyle i tak zawodnych środków, co w leczeniu suchot, moglibyśmy publicznie zalecać jedne przed drugimi. Ale dopóki ona dla tej zabójczej choroby posiada tylko przyżeganie, trzeba wielkiej odwagi i lekceważenia zarówno dobra społecznego, jak uczciwej wiedzy, ażeby tonącym wydzierać deskę ratunku i szczepienia ochronne Pasteura ogłaszać za szalbierstwo. Przecież one spoczywają nie w ręku znachorów i owczarzów, ale w ręku ludzi nauki i uczciwości.

Dr. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LISTY WIEDEŃSKIE.

17 maja.

Obchód historyczny w hotelu francuskim. — Arystokraci a demokraci w „Ognisku.“ — Koncert na rzecz galicyan głodem dotkniętych.

Skromniej, niż poprzedniego roku, święcono w pierwszych dniach maja rocznicę historyczną, której obchód zwykł gromadzić tutejszą inteligencyę polską. Przez usta przewodniczącego „Ogniska,“ p. Adama Kozłowskiego, przemawiało demokratyczne, postępowe stronnictwo akademików, które obecnie w stowarzyszeniu tem rządy objęło. Nie zawadzi nadmienić przy tej sposobności, że podczas ostatniego półrocza w „Ognisku“ zacięte staczano walki: partya t. zw. „paniczyków,“ która do niedawna dzierżyła ster stowarzyszenia w ręku, pobitą została przy wyborach ponownych; stowarzyszenie samo wyszło bez szwanku, a dziś rozwija się zdrowo w kierunku nadanym mu przez dzielną grupę młodzieży postępowej. Wracając do obchodu rocznicy, wspomnieć nam jeszcze wypada o odczycie posła Rutowskiego i świetnej przemowie ks. Krechowieckiego.

Z wielką pompą urządzono w Wiedniu koncert na korzyść wieśniaków galicyjskich, dotkniętych głodem. Wprawdzie Kochańska, którą do współndziału zaproszono, była nieusposobioną, a Padarewski nie mógł na czas przybyć z Londynu, gdzie obecnie odnosi tryumfy; zawsze jednak był to koncert pod względem artystycznym niepospolity. Brały w nim udział wyłącznie siły pierwszorzędne. Z artystów niemieckich najwybitniejszym był saski barytonista Scheidemantel, który jako gość opery wiedeńskiej olśnił publiczność wiedeńską swym przepięknym organem, a jako śpiewak koncertowy jest zjawiskiem niepospolitem. Z obcych proszono jeszcze Schrödtera, wiolonczelistę Helmerbergera i pianistę Roségo, dalej śpiewaczkę Antoninę Schläger. Nie było to postępowaniem stronniczem, że publiczność rzęsiściej oklaskiwała artystki polskie, wchodzące w skład opery wiedeńskiej, p. Irenę Abendroth i p. Lolę Beet, które zarówno pięknością głosu, jak urodą, prześcigają słynną Schlägerównę. Obie do numerów programowych dołączyły pieśni polskie, które pono i niemcom się podobały. Część fortepianową objął Rosental, lwowianin, który żyjąc w Wiedniu od lat piętnastu, dobił się dziś sławy wirtuoza pierwszorzędnego. W ubiegłym sezonie, zaproszony przez impresarya Stantona, odbył on podróż po miastach amerykańskich, zdobywając sobie wszędzie uznanie niemal entuzyastyczne. Ostatnie jego koncerty wiedeńskie zaliczono do najcelniejszych produkcyj muzycznych ubiegającego właśnie sezonu. P. Rosental zagrał między innemi własną etiudę na tle walca Szopenowskiego. Szczęśliwym był pomysł hr. Łosia, któ-

-ry dla nadania koncertowi zabarwienia charakterystycznego, powołał chór wieśniaków mazurskich z Bierzanowa pod Krakowem. Chór ten, zorganizowany przez ks. Kufla, śpiewał pod kierownictwem p. Barabasza z Krakowa kompozycye Kurpińskiego i Moniuszki, oraz szereg pieśni ludowych. Komitet koncertowy pod przewodnictwem Chlumeckiego i przy pomocy sześćdziesięciu pań z arystokracyi wiedeńskiej, które zajęły się rozprzedażą biletów, osiągnął pokaźne rezultaty materyalne: mimo wystawności, z jaką urządzono koncert, mimo wspaniałych bukietów, bufetu itp., czysty dochód wyniósł przeszło 3,000 złr.

Stwosz.

KOLCHIDA PÓŁNOCNA.

Poseł Prawdy, wspominając niedawno o rezultatach poszukiwań prof. Brücknera w Ces. bibliotece petersburskiej, nazwał ją — „nową Kolchidą.“ Pracując w niej przed laty przez czas dość długi, mogliśmy ją poznać przynajmniej o tyle, aby módz twierdzić, że zaiste porównanie takie bynajmniej przesadzonem nie jest. Bogactwo i różnorodność bibliotecznych skarbów zadowolić by mogły z pewnością nietylko jednego, lecz wielu współczesnych Jazonów, skoro by się im już udało przezwyciężyć rozmaite trudności i przeszkody, czekające ich, teraz jak i ongi, u wstępu „Kolchidy.“ Bo też nie tak to łatwo jest się przedostać do najcenniejszego jej wnętrza i korzystać swobodnie z pilnie strzeżonych skarbów — rękopisów. Znalazłszy się jednak w wielkiej sali sklepionej manuskryptów, tem sanctuarium całej instytucyi, poczynamy się rozglądać. Ściany boczne zastawione są najściślej oszklonemi szafami dębowemi, w których mieszczą się ważne zabytki z różnych krajów i epok, nie widzimy jednak zabytków tych wcale, gdyż z po za szyb szklanych patrzą na nas ze stron wszystkich, uwiecznione rylcem artystów, genialne i niegenialne twarze myślicieli, poetów, królów, wodzów, mistrzów sztuki, a także pięknych, dowcipnych lub możnych kobiet, pod każdą zaś z tych postaci—ślad widomy ziemskiej jej wędrówki: list, aforyzm, rozkaz, stronica z dzieła lub pamiętnika, słowem — autograf. Oto mądre oczy Kartezyusza patrzą na nas z prawa, a wielki arkusz żółty, pismem wyraźnem zajęty od połowy, przykuwa naszą uwagę. Co nakreśliła ręka mędrca? — pytamy siebie. Wpatrując się nabożnie w wyblakłe litery: „Madame la marquise “—czytamy nagłówek: przepraszam panią najmocniej, że muszę odmówić sobie przyjemności stawienia się u niej na dzisiejszej kolacyi, wynagrodzę to sobie innym razem. Taką tylko, mniej więcej, jest treść tego listu, a jednak u dołu stoi najwyraźniej — *Déscartes*. Lecz oto wzrok nasz pada na piękną i dobrze znaną twarz eleganckiego króla — Stanisława Augusta. Tuż pod portretem rozłożono za szkłem dość spory zeszyt francuski, zapisany drobnem i estetycznem pismem. Zatrzymujemy się więc i czytamy. Czytamy własnoręczny opis powierzchowności Poniatowskiego, dowiadujemy się więc z niego, że młody nasz poseł piękną ma postawę, wyróżniający się wyraz twarzy, piękne oczy i rysy — i że — gdyby miał zgrabniejszą łydkę—nie pragnąłby niczego więcej... Co do nas, pragnęlibyśmy przynajmniej, aby rękopis ten na innej otwarto stronicy.

Na dwóch czworobocznych filarach środkowych, podtrzymujących sklepienia obszernej tej sali, dostrzegamy dwa portrety olejne, poważne postacie w fioletach, z głowami pudrowanemi. Są to bracia „Załuscy“ (Andrzej Stanisław, biskup chełmiński, kanclerz, i Józef Andrzej — referendarz koronny, biskup kijowski), tłomaczy nam urzędnik: założyciele właściwi naszej biblioteki. Przez całe życie dwaj ci dygnitarze, a zwłaszcza młodszy Józef, wydawali ogromne sumy pieniężne i używali wszelkich starań, aby zgromadzić jak najwięcej ksiąg i rękopisów—i oto rezultatem pracy tej i ofiar całego życia był księgozbiór kolosalny, najliczniejszy wówczas w całej Europie a przekazany przez nich narodowi. Sprowadzony do Petersburga, sto lat blizko temu, stał się on podwaliną naszej biblioteki. W czasach późniejszych wzbogaciliśmy też ją ogromnie, przenosząc do Petersburga, wskutek rozmaitych zajść i okoliczności, archiwa familijne Radziwiłłów, Sapiehów, Ogińskich itd. To też szczególniej dział nasz „Polonica“ niezmiernie jest obfity i możemy się słusznie pochwalić niejednym białym krukiem.

Czy posiada też biblioteka katalog szczegółowy rękopisów polskich?

O nie, o szczegółowym katalogu mowy nawet dotychczas jeszcze być nie może, byłaby to praca olbrzymia; posiadamy jednak dwa grube tomy katalogów, niestety, wcale niewyczerpujących i niedrukowanych, a pochodzących, podobno, jeszcze od bibliotekarza Załuskich — Janockiego.

Czy wolno w nich się rozejrzeć?

Potrzeba na to pozwolenia specyalnego, tj. wogóle pozwolenia korzystania z działu rękopisów.

Odpowiedź ta przypomina nam opowiadania jednego z historyków zagranicznych i niemiło nam się robi na myśl o przeszkodach, z którémi musiał on walczyć w wypadku podobnym; to też z tem większem zadowoleniem czujemy się w posiadaniu cennego pozwolenia i— prosimy o katalogi.

Ulokowano nas w okrągławej sali narożnej. Cisza i samotność panują tu absolutnie, matowe stoły i szafy dębowe nie odbijają żadnych jaskrawszych promieni, za to ognie tęczowe płoną we wnętrzu wielkiej szkatuły szklanej, stojącej pośrodku, na postumencie— to się tak mienią w słońcu dyamenty, szafiry i rubiny, z oprawy złotej, sławnej ewangelii Ostromina, spoczywającej w tej szkatule. Tuż za wielkiemi oknami huczy tysiącami odgłosów olbrzymia ulica—Prospekt-Newski. Wprost okien stoją na piedestałach i wyżej na pitelach filarów popiersia znakomitych mężów i patrzą przez dzień cały na wrzące po za murami temi życie, lecz nie zapala ono nigdy najlżejszej iskierki w ich skamieniałych oczach.

Ale oto kładą wreszcie przed nami dwa folianty, dwa tomy katalogu „Polonica,“ jeden do rzeczy łacińskich, drugi właściwie polskich. Nie mogąc kusić się, niestety, o rozumienie źródeł łacińskich, odsuwamy jeden z tomów na bok, i z tem większą chciwością zagłębiamy się w spis rzeczy polskich. Osobista i listowna zachęta Szujskiego (działo się to na krótko przed jego śmiercią), biadającego nad nieznajomością biblioteki petersburskiej, dodaje nam bodźca i otuchy.

Przekonywamy się już na wstępie, że rękopiśmienny dział „Polonica,“ jak się spodziewać zresztą należało, bardzo jest rozmaity: teologia, filozofia, historya, genealogia, prawo, literatura we wszelkich jej formach itd. itd. są tak obficie reprezentowane, że nietylko dla badaczów pojedynczych, lecz dla całych wypraw naukowych znalazłaby się tu robota na lat wiele, tembardziej, że brak wskazówek katalogowych utrudnia nadzwyczaj możność oryentowania się wśród olbrzymiego materyału. Porównywając tytuły starego katalogu z odnośnymi zeszytami lub foliantami rękopisów, spostrzegliśmy bardzo prędko, że w znacznej ilości wypadków wpisanym został jedynie tylko pierwszy tytuł różnolitego zbioru, bez wyszczególnienia i nazwy innych jego części składowych, całkiem niezależnych i częstokroć ważniejszych znacznie od pierwszego. Dlatego też nikt nie wie, z jaką taką nawet dokładnością, co właściwie znajduje się w bibliotece.

Prof. Brückner, o ile nam wiadomo, pracując w bibliotece w ciągu ubiegłego semestru, zwracał specyalnie uwagę na starodawne zabytki języka i literatnry polskiej; nad nimi też, przed laty kilkunastu, pracował i profesor wrocławski, Władysław Nehring, a także, w lat kilka po nim, obecny profesor lwowski — Antoni Kalina. Mniej za to szczęściło się dotychczas działowi historycznemu; korzystał zeń podobno w szerszych rozmiarach wrocławski historyk J. Caro, nie zbyt przychylnie względem nas usposobiony, a później uczony lwowski, znany badacz czasów Witoldowych—p. Antoni Prochaska. Czerpał on też wiele z archiwum sztabu głównego. P. Stanisław Ptaszycki również zna częściowo obszerne te zbiory; znajdą się zapewne i inni; widywaliśmy często w sekcyach specyalnych sędziwego p. Romualda Hubego, znanego badacza prawa, członka Rady państwa, ale nie wiemy wcale, co zajmowało głównie wówczas jego uwagę. Wogóle jednak powiedzieć można, że dotychczas nauka nasza historyczna zbyt mało korzystała ze zbiorów petersburskich i skłonną była może przesadzać przeszkody, mające utrudniać do nich dostęp.

Przystępując do studyów bibliotecznych bez żadnego specyalnego planu, z wyjątkiem chęci dowiedzenia się, *co* w niej jest właściwie, zwracaliśmy uwagę na rozmaite działy „Polonica,“ na rozmaite tytuły, przepatrzyliśmy wiele zbiorów rękopiśmiennych — historycznych i literackich, nie zatrzymując się nad żadnym szczegółowiej. Dlatego też żadnych wiadomości wyczerpujących nie jesteśmy dać w stanie, tembardziej, że obecnie i świeżość wrażeń i oceny bezpośredniej znacznie się już zatarła; przypuszczamy jednak, że nawet wskazówki ogólnikowe mogą przynieść korzyść pewną, jeżeli zwrócą na ten lub ów materyał uwagę jakiego specyalisty. Wypisaliśmy sobie wprawdzie część drobiazgów politycznych i poetycznych, zwłaszcza z epoki konfederacyi Barskiej, sejmu czteroletniego itp. lecz nie mogliśmy nawet sprawdzić dotychczas, o ile są one nieznane. Zanotowaliśmy też sobie kilkadziesiąt stronic ważniejszych nagłówków, ale przytoczenie ich szczegółowe byłoby na miejscu tylko w specyalnem piśmie historycznem. Tutaj wymienimy tylko w krótkich słowach niektóre z ważniejszych zabytków i zbiorów rękopiśmiennych.

Otóż jednym z najbardziej pociągających tytułów katalogu jest bez wątpienia nr. 13 działu historycznego, brzmiący jak następuje: *„Sobieski Jan, król*: Dyaryusz kampanii 1686 r. *własnoręczny*.“

Smutna ta kampania wołoska, zawodząca nadzieje króla i królewicza Jakóba, a przynosząca pośrednio, wbrew ich zamysłom, korzyści ważne domowi Habsburgów i Austryi, nie może się wprawdzie równać ze znaczeniem dziejowem wyprawy wiedeńskiej, o lat trzy wcześniejszej, stanowi jednak w każdym razie stronicę wybitną w życiu zbolałego króla, którą poznać dokładnie zawsze byłoby warto, a cóż dopiero czytać ją skreśloną własną ręką Sobieskiego. Kto wie, czy nie wyjaśniłyby się z tego „Dyaryusza,“ z większą niż dotychczas pewnością, szerokie plany króla, sięgające pono w tym właśnie czasie bram Konstantynopola a także pogląd jego prawdziwy na pseudo-sprzymierzeńców Polski. Niestety, pomimo starań usilnych nieudało się nam dostąpić zaszczytu odczytania lub obejrzenia chociażby tego skarbu biblioteki, dowiedzieliśmy się zresztą później, że także sama odmowa spotykała i innych ciekawych. Pomimo to jednak zabytek ten nie jest wcale tylko mitem katalogowym, gdyż lat dwadzieścia i kilka temu miał go w ręku i czytał znany historyk rosyjski Kostomarow, jak to on sam nam opowiadał, dodając przytem, że później pracował nad nim pewien rodak nasz Kalinowski, rezul-

taty jednak tej pracy nikomu nie są znane. Wycięcie kilku stronic „Dyaryusza“ nie wiadomo przez jakiego wandala dokonane, stało się właśnie powodem ostrożności obecnej i niedostępności tego mianowicie zabytku. Jest też dość spora spuścizna, w znacznej części jednak znana skądinąd, po znakomitym ojcu króla Jana — Jakóbie Sobieskim.

Jedną z najważniejszych kategoryj źródeł dziejowych są bez wątpienia *listy*, korespondencya prywatna i publiczna ludzi, przodujących narodowi w tej lub owej epoce, w tej lub owej sferze. Otóż kategorya ta, sądząc z katalogu i uwag w nim zawartych, świetnie jest reprezentowaną. I tak np. nr. 40 msf. 59 zawiera w sobie „Zbiór pism do elekcyi Henryka Walezego należących,“ a w liczbie tej listy *oryginalne* posłów, po Henryka wysłanych. Uwzględniwszy ważność tej chwili przełomowej w historyi naszej, inaugurującej nowy stosunek pomiędzy monarchą a narodem, na zasadach t. z. „Artykułów Henrycyańskich,“ ocenimy należycie wartość podobnych dokumentów. Nie mało też znajdzie się zbiorów z czasów Batorego, pomiędzy nimi są też listy *własnoręczne* Zborowskich. Dokumenty, tyczące się burzliwej tej i oryginalnej rodziny, spotykają się w kilku odrębnych zbiorach rękopiśmiennych (między innemi w dużym zbiorze *Szafrańców*) i zawierają sporo materyału do charakterystyki i historyi tego lub owego z wichrzycielskich braci.

Szersze znaczenie dziejowe cechują liczne zbiory listów, pisanych do Radziwiłłów i innych możnowładców, obejmujące czasem parę set lat nieprzerwanego ciągu, przeważnie jednak w kopiach współczesnych, składające się z pism publicznych i prywatnych królów polskich i monarchów zagranicznych, dygnitarzy krajowych i cudzoziemskich, wogóle osobistości mniej lub więcej znanych na różnych polach i w czasach różnych. Nie wymieniamy tu szczegółowo nagłówków rękopisów tych, gdyż powiększyłoby to znacznie rozmiary artykułu niniejszego; zauważymy tylko, że są to zabytki pierwszorzędnej wagi dla kilku wieków ostatnich historyi naszej i czas naprawdę już wielki, aby się postarano w nich rozpatrzyć, rozgraniczyć choć mniej więcej rzeczy znane od nieznanych i, naturalnie, zająć się specyalnie temi ostatniemi. Byłoby to wdzięczne i odpowiednie zadanie dla takiej naprzykład ekspedycyi naukowej, jaką wysyłał do Watykanu Uniwersytet krakowski.

Z czasów późniejszych, z w. XVIII-go, posiada też biblioteka listów różnych nie mało, wymienimy tutaj: „Pisma różne publiczne i listy urzędników *własnoręczne*, listy Połubińskiego, Chreptowicza, Kiełkowskiego.“

Prócz listów, źródła tyczące się *wewnętrznych dziejów* Polski, Litwy i Rusi składają się: z dyaryuszów sejmowych wotów, mów senatorów i posłów, aktów, uniwersałów, instrukcyj, punktów pokojowych, memoryałów, projektów reform prawodawczych i administracyjnych, dyaryuszów prywatnych. (Rękopis oryginalny pamiętników Paska także się tu znajduje).

Stosunki z *mocarstwami obcemi* odbiły się też w niezmiernie obfitym materyale *dyplomatycznym*, rozrzuconym po rozmaitych zbiorach.

Z pomiędzy dyaryuszów posłów naszych do Porty (ks. Zbarazkiego, Raf. Leszczyńskiego, Sam. Miaskowskiego) należałoby zwrócić uwagę na *Dyaryusz J. Gnińskiego z 1679 roku*, dotychczas, jeżeli się nie mylimy, nigdy jeszcze nie ogłaszany drukiem (nr. 34, msf. 153).

Interesujących przyczynków do starej naszej *geografii* i *etnografii* dostarczyłoby zapewne: „Opisanie Porty Ottomańskiej i krajów słowiańskich“ nr. 40 msf. 136.

Podróże po obcych krajach, przeważnie znane i wydawane ongi na widok publiczny, nie są też rzadkością w zbiorach przez nas omawianych.

Z pomiędzy dokumentów, mogących rzucić światło na stosunki nasze z *kozakami*, dość dużo obiecuje nr. 94 msf. 374, pp. 748: „Listy, odprawy posłów itd. Zaporozcy — 1632—1639.“ Jest to właśnie czas tajemniczych pertraktacyj kozaków z Władysławem IV, założenia twierdzy kudackiej, buntów Sulimy, Pawluka i Ostrzanicy — i wzrastania wpływów i znaczenia Chmielnickiego. Znając jednak rękopis ten z tytułu jedynie, nie jesteśmy w stanie przesądzać, o ile treść jego jest rzeczywiście pouczającą i nową.

Tak zwana literatura nadobna, *poezya* zwłaszcza, przedstawia się też pokaźnie, ilościowo szczególniej. *Potockiego* naprzykład bardzo jest wiele rzeczy. Warto też byłoby sprawdzić, czy rzeczywiście uzasadnionem jest przypuszczenie Załuskiego, że *Morsztyn* jest autorem poezyj miłosnych, zawartych w rękopisie, opatrzonym numerem 40 (msf. 47).

O olbrzymiej i wszechstronnej pracy J. Załuskiego przekonywamy się tu na każdym kroku, widząc tyle własnych pism jego, przepisywań, uwag, notatek i to obejmujących tak różne dziedziny, że podziwiać możemy tylko pracowitość jego niezrównaną i energię działalności.

Dla charakterystyki ludzi i spraw ich niemałą też wartość stanowi *literatura okolicznościowa*, wiersze ulotne, piosenki, satyry, anonimowe w znacznej części, ujęte w pewną całość zbiorową, lub rozsiane w różnych „Silvae rerum“ i „Miscellaneach.“ Ciężka, zaściankowa, lecz silna przekonaniem i namiętnością poezya konfederatów Barskich, styka się nieraz na ich stronicach z wyrafinowaną ironią i sceptycyzmem epigramatów księcia biskupa warmińskiego.

Nawet okres romantyczny jest tu reprezentowany, jak świadczy rękopis, opatrzony numerem 108 msf.: „Wiersze, okres wileński, Mickiewicz itd. msf. 129.“ Wnosić jednak można, że niewiele nowego dałoby się tam znaleźć.

Słowem, obejrzawszy najpobieżniej nawet całe to pole, od lat stu przecie leżące odłogiem, przekonamy się łatwo, że jest ono obszerne i żyzne i kryje pewno w swojem wnętrzu niejeden skarb nieznany; czy długo jeszcze będzie ono czekać na uczonych oraczy?

Dorpat.

Rom. Baudouin de Courtenay.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Hasło dnia. — Kłopot z muzami pozbawionemi siedziby. — Moje trzy grosze w tej sprawie. — Chór włościan bierzanowskich. — Pod adresem Lutni. — Przeproszenie za omyłkę popełnioną względem kolei Terespolskiej. — Niebezpieczeństwo grożące jej ze strony archeologów. — Wypadek w Tczewie. — Drogi żelazne niemieckie.— Co kosztuje jeden wystrzał.— 36 utopionych dziewczyn. — Rzetelna banialuka. — Lekceważenie i bałwochwalstwo.— Sposób sprawdzenia wartości pocisków.

„Hasłem dnia jutrzejszego w Warszawie — pisze *Kuryer* — będzie: *na raut do doliny.*“ Któregoż to dnia? Każdego. W tem haśle bowiem zmienia się tylko ostatni wyraz, a zresztą jest ono stałem, codziennem. Najszczęśliwszy i najweselszy z narodów nie zna odpoczynku w zabawie a melancholię pozostawia społeczeństwom uboższym i mniej zadowolonym — np. anglikom. Naród ten (warszawski) ma jednak dość ciężkie zmartwienie. Oto teatr Wielki będzie przerobiony— co potrwa ze dwa lata, gdzie tedy podzieć muzy, które w nim przebywają i które — jak wiadomo — są głównemi patronkami naszego życia (łącznie z Talią)? Jedni proponują, ażeby opatrzyć lepiej teatr Letni i dawać w nim przedstawienia zimowe, ale pewien skrupuł sprawia im koszt 39,000 rs. nawet dla nas rautowiczów za ciężki. Inni radzą, ażeby boginie teatralne przenieść do cyrku przy ulicy Ordynackiej, ale to znowu naraziłoby je na despekt. Moje trzy grosze jest niewątpliwie gorszem od obu poprzednich, ale je wsadzę w tę sprawę. Mnie się zdaje, że najpraktyczniej byłoby z teatrów mniejszych wymieść na dwa lata wszystkie śmiecie repertuaru i dawać w nich tylko przedstawienia wartościowe. W teatrach tych można śpiewać opery, grać najznakomitsze dramaty i komedye, a że wtedy zbraknie miejsca dla *Żywych posągów*, dla *Niespodzianek rozwodowych*, dla wszelkich głupstw krajowych i zagranicznych — to nie powinno nas zbyt smucić. Niewątpliwie, opera będzie miała w Rozmaitościach mniej przyjazne warunki (o balecie niech myśli ten, kto mu coś zawdzięcza), ależ znowu nie posiada ona u nas takich głosów, którebyś groziły ruiną murom jerychońskim. A nawet jeśli p. Mierzwiński zechce tam wyrzucić swoje *c*, to jeszcze nie nastąpi koniec świata, zwłaszcza że je wyrzucał bez niebezpieczeństwa w salach mniejszych. Zresztą powinno nam wystarczyć mocy charakteru do zniesienia pewnych niewygód przez dwie zimy oraz do wstrzemięźliwości od błazeństw francuskich i niefrancuskich, których upust nieco się zwęży.

Nasz korespondent wiedeński, zarówno jak sprawozdawcy innych pism odbijają nam echa zachwytu, jakim uczczono występ chóru włościan bierzanowskich na tamtejszym koncercie dobroczynnym. Kto zna muzykalność i artystyczne wykształcenie stolicy austryackiej, łatwo odgadnie, że ów chór musiał zadowolić większe wymagania, niż te, jakie stawiamy przy dożynkach i suplikacyach. Z pewnością jego kierownicy nie wysłaliby go do Wiednia, gdyby nie byli pewni, że zrobi wrażenie. Czyjem on jest dziełem? Jakiegoś syna włościańskiego, czy też księdza, w każdym razie człowieka, który rozumiał, że z piersi chłopskich można coś więcej wydobyć, niż: „pochwalony“ i „dopraszam się łaski pańskiej.“ Błogosławiona wszelka ręka, która ze skał wydobywa zdroje. Wynaleźć śród biednego i ciemnego ludu głosy, wykształcić je bodaj elementarnie, zharmonizować — jest to zaiste trud i talent nie lada. Marysia i Wawrzek nie mają czujnych na ich zdolność rodziców, nie pielęgnują najsłabszych pisków pod opieką krajowych i zagranicznych mistrzów, nie uczęszczają do konserwatoryów — co najwyżej on nuci przy bronie, ona przy sierpie lub w kościele, kształcą się tak, jak szczygły, zięby i słowiki.

I my mamy swojego Namysłowskiego, który złożył chłopską orkiestrę, popisującą się corocznie w Warszawie i przyśpiewującą sobie w swych koncertach. Właściwego jednak chóru włościańskiego, jak bierzanowski nie posiadamy. Czy ma go wytworzyć przypadek — jakiś inteligentny syn włościanina lub ksiądz, czy też świadome celu zabiegi? W tym ostatnim razie sądziłbym, że jest to zadanie warszawskiej Lutni, która powinna być matką podobnych stowarzyszeń ludowych. Nie badam obecnie sposobów i warunków takiego przedsięwzięcia, rzucam tylko myśl, która może wraz z tumanem niespełnionych projektów przelecieć sobie, ale może również paść na grunt przyjazny, na którym szczęśliwie zakiełkuje i rozwinie się. Przecież dobrem marzeniem grzeszyć wolno.

Chociaż to także było tylko dobrem marzeniem naszego kronikarza, gdy w poprzednim numerze *Prawdy* wszystkim naszym drogom żelaznym przypisał bohaterski czyn zaprowadzenia biletów spacerowych i sezonowych ze zniżką ceny o 33%, przepraszam za tę jego omyłkę kolej Terespolską, która

niczego podobnego się nie dopuściła i nie chce być nawet żółwiem w wyścigu z Achillesem. Dyrektorowie i zarządcy jej mają pensye i bezpłatne przejazdy poręczone — czy więc potrzebują wdawać się w jakieś reformy, od których im ani grosz do kieszeni nie kapnie? To też nietylko znieśli wysyłane w latach przeszłych pociągi spacerowe ze zniżoną opłatą, nietylko utrzymali pocztę przy tym, który przystanki omija, ale nadto sprawili sobie nowy, który również uwzględnia tylko stacye główne. Tak nieposzlakowanego konserwatyzmu wynalazek Stephensona w drugim okazie na obecnym świecie nie zna. Unikaty są zawsze cenne — trzeba więc złożyć należny hołd tej niewzruszonej drodze, której brak tylko Chamborda, ażeby po niej z zachwytem jeździł. Jeżeli, czytelniku, wiesz o drugiej kolei, któraby rozwoziła pocztę pociągiem najrzadziej zatrzymującym się i któraby mężnie stawiała czoło nawet biletom spacerowym, to, na litość, donieś nam, bo chociaż czcimy nasz unikat, obawiamy się, ażeby anglicy nie zakupili go i jako rzadką skamieniałość cywilizacyi nie przenieśli do swego *British Museum*. Wtedy rzeczy i ludzi z pasa między Warszawą a Brześciem zaczną w swych budach wozić Moszki i Jojnowie, a okolica, przekonawszy się, że ten transport jest w wielu razach tańszy i prędszy, gotowa wystąpić z błagalnem podaniem, ażeby jej nie unieszczęśliwiano nową koleją Terespolską, która komunikacyi nie udogodni i kosztów jej nie obniży, a Moszków i Jojnów wypłoszy.

Ma ona jednakże swoje cnoty. Tak np. nie wjeżdża pociągami w swe dworce, lecz według przepisu zatrzymuje się na szynach i w oznaczonych miejscach. Tej pewności nie dają drogi żelazne niemieckie. Przed tygodniem zdarzył się tego rodzaju wypadek na stacyi w Tczewie: niezahamowana lokomotywa wpadła do banhofu i zburzyła go, zabiwszy kilka osób. Niedawno w jednej z gazet pruskich czytałem takie zdanie: „koleje ruskie słynne ze swego niedbalstwa...“ Otóż zdaje mi się, że sławę tę możnaby dziś bezsprzecznie przyznać niemieckim; niema bowiem kraju, któryby posiadał z ostatnich czasów tak bogatą kronikę nieszczęśliwych zdarzeń na kolejach. Co parę tygodni słyszymy o wykolejeniu się tam lub rozbiciu pociągów, a już takiego wypadku, w którym by lokomotywa przeleciała przez dworzec, chyba dziejekolejnictwa nie znają. Jest to także unikat. To też bez żartu radzę wam, czytelnicy, niewolni od dóbr doczesnych, ile razy będziecie musieli jechać drogą żelazną przez Niemcy, zaasekurujcie się we wszystkich instancyach niebieskich, ale przedewszystkiem zróbcie testament. Bo coś się istotnie popsuło w dumnem ze swej akuratności państwie niemieckiem. Militaryzm pochłonął całą jego uwagę, pożera wszystkie jego środki i ściąga ku sobie wszystkie starania. Co po za nim leży—gnije i marnieje. Świeżo obliczono, że *jeden* strzał z działa okrętowego wagi 110 tonn kosztuje *6,535* marek, z 67 tonnowego — 3,680 m. itd. Ponieważ niemcy fiksują obecnie na marynarce i sprawiają sobie coraz nowe okręty i działa, łatwo zrozumieć, że przy takich kosztach jednego strzału (wyrównywających u nas pensyi wysokiego urzędnika) muszą oszczędzać na innych wydatkach i wyzyskiwać pracę ludzką. Z armat wylatują tysiące marek, a z szyn zlatują pociągi, bo licho opłacana służba nuży się nadmiernymi trudami i zaniedbuje obowiązki.

Jak na przypadek — za wiele nieszczęść i ofiar. Podczas gdy w Tczewie pociąg wpadł do dworca, między Sławikowem a Turzem na Odrze (w Poznańskiem) utonęły 42 dziewczyny wiejskie, którémi przewoźnik przeładował łódkę pomimo ich oporu. I to także niekażdy rok i niewszędzie ogląda.

I to również.

Pewien krytyk obrazów Chełmońskiego wyraził się tak: „Rozprawiają u nas o sztuce polskiej. Sztuki polskiej *niema*... dotąd, jest tylko *jeden* artysta *naprawdę* polski. Tym artystą... Chełmoński. Jest on dla malarstwa naszego tem, czem dla muzyki Chopin, dla poezyi Mickiewicz, dla prozy... Sienkiewicz.“ Więcej w tem zuchwalstwie jest widocznych bredni, niż liter, rozbierać więc go nie będę, tem bardziej, że ono rozśmieszyło wszystkich, a zawstydziło niezawodnie Chełmońskiego i Sienkiewicza. Wspominam zaś o niem dlatego tylko, że stanowi ono charakterystyczny i jaskrawy wyraz potwornego lekceważenia geniuszu narodowego, który u nas istnieje i rozwija się obok szowinizmu i bałwochwalstwa. Krytyka nasza waha się ciągle między bizantynizmem, który gotów pot swych bożyszcz ogłaszać za wonny olejek, a kpinkowaniem, bagatelizującem swojskich ludzi, swojską pracę, swojskie skarby. Niema takiej przesady, którejbyśmy nie dopuścili się w jednym lub drugim kierunku. Ci postawią sobie na ołtarzu Sienkiewicza i gdy on kichnie, padają w pobożnem uniesieniu na ziemię; tamci znowu uwiążą na sznurze utalentowanego pisarza lub artystę i przewloką go przez kałużę błota. Niech tylko ktoś da hasło do takiej zabawy, natychmiast znajdzie naśladowców, nawet między tymi, którzy go naprzód zekpają. Dla poniewicrania naszem malarstwem zachęcił zuchów Witkiewicz. Wyznaje on swoją sekciarską teoryę sztuki, której, według niego, zadość czyni bardzo niewielu artystów. Ponieważ zaś głosi ją z werwą, zapałem, gorącą wiarą i pozorami nowej ewangielii, więc uwodzi tych, którzy mniej od niego myślą i wiedzą, ale chcą koniecznie biedz w dowodzeniach z rozpędem i szumem. Jeśli małpa, udając człowieka, goli się, to z pewnością tak zawżdy, że aż sobie z twarzy kawałki skóry skraje. Witkiewicz śród naszych malarzy wybiera kilku — jego naśladowca idzie dalej i wybiera jednego. Powiedział bezsens, ale powiedział coś takiego, na co wytrzeszczono oczy. Czegóż ludzie nie wdziewają, ażeby tylko za nimi się oglądano! Podobnie bywa i w literaturze: kto nie może zwrócić na siebie uwagi rażącym rozumem, ten ją zwraca rażącem głupstwem. Kto zaś chce wypróbować wartość takich drwin i lekceważeń, takich kamieni, którymi w siebie ciskamy, niech je wrzuci do naszego ogrodu z za parkanu. Przypuśćmy, że *Berliner Tageblatt* albo *Mosk. Wiedomosti* napisały: „Rozprawiają o sztuce polskiej. Sztuki polskiej dotąd niema; jest tylko jeden artysta...“ Dopiero rozpocznie się brzęczenie w ulu dziennikarskim, dopiero te same pszczoły, które u siebie widziały tylko trutniów, zaczną kąsać żądłami zewnętrznego śmiałka. Powtarza się to ciągle i w niezliczonych odmianach. Sami uwieńczymy ostem i grochem zasługujących na wawrzyny, ale bronić będziemy przeciw cudzym zamachom korony na głowie zwykłego wyrobnika literackiego. Jakaś stara maksyma uczy: szanujmy się sami, jeśli chcemy, aby nas inni szanowali. Powinniby o niej pamiętać ci, którzy dziś znieważają geniusz narodu, a jutro walczą za niego lub nawet za jego słabości. Tego rodzaju bowiem taktyka jest godną urwisów, czerni ulicznej, junaków miotanych ślepymi instynktami, a nie ludzi rozumnych i poważnych. Pomijając jej szpetność, zważać trzeba, że za wiele nam inni odmawiają, ażebyśmy mogli sobie sami jeszcze zaprzeczać tego, co nam się należy.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Miasta nasze wobec kredytu.—Dzisiejsze oblicze wsi.—Dzieciobójstwo na wsi. — Epidemia pożarowa w łonie wielkiego przemysłu.

Tym razem zaczniemy kronikę życia prowincyonalnego od kredytu...

Kredyt tem jest dla życia gospodarczego, spoczywającego na dzisiejszej podwalinie, czem iskra elektryczna dla ciała, mającego nieustanną dążność do omdleń i odrętwień. Banki — to kościoły tegoczesne, ich filie — to kaplice. Jedne i drugie przeznaczone są na naczynia „świętego ognia,“ który poprzez żyły wymiany i kieszenie pośrednicze bez przerwy obiega produkcyę, żeby następnie znowu tą samą drogą wrócić do źródła. Oryginalny stos Wolty, którego biegunem ujemnym jest praca, dodatnim—kapitał... Otóż takiego właśnie „stosu“ zabrakło naraz Piotrkowowi. Orzeczono, iż kapliczka — filia Banku państwa—jest zbyteczną: za mało była uczęszczaną przez wiernych (t. j. przemysłowców i kupców miejscowych). Musi więc być skasowaną. Na potrzeby grodu, wystarczy zwykłego „domu modlitwy“ — kasy gubernialnej. Życiodawczy znicz zostanie przeniesiony do niej. Przerażeni tą decyzyą obywatele miasta, t. j. kupcy i przemysłowy, wyprawili delegacyę do ministra skarbu z prośbą o uwzględnienie ich interesów. Podobno, o ile wiadomo z *Tygodnia* piotrkowskiego, zyski zamkniętej filii od chwili jej otwarcia wzrastały coraz bardziej: z 5,086 rs. wzrosły do 16,957, nie licząc zysków z obrotów likwidacyi (około 35,000). Ruch wekslowy się wzmagał z każdym rokiem, liczba zaś „akredytowanych“ (dopuszczonych do kredytu) byłaby znacznie większą, gdyby oddział mniej utrudniał kredyt. Słowem, wszelkie dane powodzenia i rozwoju instytucyi. Delegaci miasta Piotrkowa zostali *życzliwie* przyjęci przez ministra skarbu i dyrektora Banku państwa. Na skutek ich zażaleń odbyło się w Banku posiedzenie, na którem uchwalono złożyć ministrowi projekt skasowania oddziału piotrkowskiego z poprawkami. Operacye jego, z wyłączeniem skupu weksli, przekazane być mają miejscowej kasie skarbowej gubernialnej pod zwierzchnim nadzorem oddziału banku w Łodzi. Szczegół to wysoce znamienny. Łódź wielko-przemysłowa ma czuwać okiem swego pół-banku nad kredytem Piotrkowa drobno-przemysłowego! Utrata filii banku poszła za utratą dwóch poprzednich instytucyj rządowych przez to miasto. Zbliża się chwila, gdy za odpływem fali ekonomicznej z Piotrkowa do Łodzi pójdzie wślad odpływ administracyjnej — gubernia.

Pojmujemy, że obywatele Piotrkowa nie życzyliby sobie, iżby ich gród zajął stanowisko trabanta Łodzi, ale litujemy się nad dolą czterech miast powiatowych gubernii lubelskiej: Hrubieszowa, Chełma, Krasnystawa i Zamościa. Miasta te, zapragnąwszy zastrzyknąć w swe żyły zanikające dobroczynnych soków kredytu, zwróciły się do dyrekcyi Towarzystwa kredytowego lubelskiego z podaniami o przyłączenie ich do tej instytucyi, proś cij o udzielenie prawa korzystania z pożyczek na nieruchomości miejskie w listach zastawnych Lublina. Pomimo niezmiernie pokornych warunków ze strony proszących, t. j. nietylko zupełnego poddania się przepisom ustawy Towarzystwa, lecz nawet zgody na opłacanie kosztów administracyi w wysokości jednego zamiast zwykłego pół procentu rocznie, władze Towarzystwa uznały za niemożliwe do zaspokojenia żądania miast rzeczonych. Pobudka odmowy znajduje wytłomaczenie w warunkach społeczno-ekonomicznych, jakie dostały się w udziale miastom powiatowym. Domy miast prowincyonalnych są zwykle bardzo zaniedbane i przeto nie dają rękojmi trwałości przez okres amortyzacyjny dla udzielonych pożyczek. Brak straży ogniowych a zatem bezpieczeństwa. Nizki poziom dochodów, powinności kwaterunkowe w naturze daleko dotkliwsze niż w Lublinie. Następnie niepewność renty domowej, jako płynącej przeważnie z kieszeni urzędników, którzy zwykle spadają z etatu skutkiem przemiany lub zupełnego zwinięcia biur powiatowych. Wszystko razem kończy się nieregularnością opłaty rat

i ostatecznie wystawieniem nieruchomości na sprzedaż. Zbyt często powtarzające się przetargi dla braku licytantów zmuszałyby Towarzystwo nabywać domy na rzecz swoją, co jest połączone nietylko z znacznymi kosztami, lecz stratą. Naostatek zaś znalazłyby się niełatwe do pokonania trudności w powiatowych wydziałach hypotecznych i znowu brak bezpieczeństwa ogniowego groziłby całości akt zastawniczych. Przyłączenie więc miast prowincyonalnych do Lublina nie przyniosłoby Towarzystwu nietylko żadnej korzyści, lecz jeszcze wpłynęłoby na zniżenie kursu listów zastawnych. Nie mamy możności sprawdzenia słuszności tych motywów, to tylko pewna, że zanim Hrubieszów, Chełm, Krasnystaw i Zamość zdobędą się na skuteczniejszą obronę przeciwogniową i oprą swój byt na trwalszych czynnikach niż biurokracya, powinny pójść za przykładem Grójca.

Miasto to posłuchało głosu Schultzego z Delitsch i związało się Towarzystwem zaliczkowo-wkładowem, które na podstawie sprawozdania za rok 1889 w następujący sposób się przedstawia: W końcu r. 1888 liczyło członków 271, w roku sprawozdawczym ubyło 28, przybyło zaś 30, zatem liczy obecnie 273. Kapitał udziałowy wynosił 16,666 rs. 97 kop., obrót kasowy 208,243 rs. 90 kop., wkładów pozostało w końcu roku sprawozdawczego 17,987 rs., procent od wkładów został ustanowiony na 7% dla stowarzyszonych, a na 6% dla obcych. Zaliczki w końcu w końcu 1888 r. wynosiły 45,233 rs., w ciągu roku sprawozdawczego przyznano i wypłacono 68,890 rs., spłacono 65,273, pozostało w zaliczeniach na rok bieżący 48,850 rs. Fundusz zapasowy Towarzystwa wynosi 6,336 rs., z zysków otrzymanych w wysokości 1,584 rs. 84 kop. przeznaczono 10%, czyli 158 rs. 10 kop. na fundusz zapasowy, 1,409 rs. 20 kop. na dywidendę w stosunku 9%. Bilans Towarzystwa obejmuje w stanie czynnym 222,280 rs. 87 kop. i tyleż w stanie biernym.

Przytaczamy kilka wybitnych, nowych rysów życia wiejskiego u nas, które korespondent *Gazety radomskiej* pochwycił, nie wymieniając gdzie, zapewne w dobrze mu znanej okolicy i za pośpiesznie może uogólnił na cały kraj. Po upływie ostatnich lat trzydziestu cała ludność kraju zmieniła do takiego stopnia swój charakter, t. j., *obyczaje i ubiór*, że gdyby który z dziadów a nawet ojców zmartwychwstał, nie poznałby swojej wsi i nie uwierzył, że się znajduje wśród dzieci i wnuków swoich. Lasy wycięte i zamienione w pola uprawne: powstały nowe wsi i osady. Wiele majętności dworskich znikło. Piękne zabudowania, wzorowe gospodarstwa, bogactwo inwentarza, bujność przeróżnych zbóż i innych roślin także — znikło... „Większa własność ginie pod nieciągniętem przeznaczeniem przeżycia, z koniecznością ustępując nowym prądom, nowym urządzeniom społecznym. Zginęła już bezpowrotnie tak niegdyś liczna, ruchliwa i krzykliwa klasa zastawnikówdzierżawców, która z pokolenia na pokolenie dorabiała się z maluczkich początków — często znacznych fortun. Dziś zamożni kiedyś (niegdyś) właściciele walczą tylko o byt zachwiany z mnożącemi się codzień trudnościami dużych ciężarów a małych przychodów. Lecz większość ludności zyskała, cywilizuje się i szybkim krokiem dąży do umysłowego zrównania z klasą niegdyś (?) uprzywilejowaną. Odwieczna nienawiść kastowa zamieniła się najprzód w obojętność, a z niej w przychylność dla większej własności, jako z czasem im kiedyś jeżeli już nie przez nowe prawa (?), to przez zbiorowe kupno przypaść mającej. Gospodarz spoważniał, zaczyna szerzej się rozglądać i myśleć, umie czytać, stoi się o *książki nabożne i kalendarz* (!). W domu herbata, cukier, nafta stały się nieodzownemi potrzebami na równi z solą. Szczyt(em) jego marzeń jest zdobycie dostatecznej ilości ziemi na wygodne gospodarstwo.“ Słowem, świetny stan rzeczy: pulweryzacya ziemi zapowiada się dobrze, granice klasowe między drobną a wielką własnością się zacierają, kalendarz i książki nabożne występują w roli strychulca umysłowego pomiędzy głową kmiecą a szlachecką, chłop pije herbatę i pali naftę, i w odstępach między jedną a drugą czynnością marzy o zdobyciu dostatecznej ilości ziemi na wygodne gospodarstwo. Szkoda tylko, że swój charakterystyczny rodzimy strój zamienił na kosmopolityczny mieszczański, a „jedyne“ w Europie „lechickie“ powitanie „pochwalony!“ zastąpił przez „dzień dobry.“ Ale conajgorsza, rzadkie dotychczas śród włościaństwa typy „starych kawalerów“ i „starych panien“ oraz „stadeł na wiarę“ trafiać się zaczynają coraz częściej. Właściwości budowy społecznej wyciskają więc coraz wyraźniejsze piętna na życiu chłopa polskiego.

Żeby obraz był zupełniejszy, spojrzyjmy po za zasłonę, uchyloną przez dr. Tchórznickiego. Idzie tu o dzieciobójstwo. Pomimo że „kazalnica i konfesyonał są wielką społeczną dźwignią wśród włościan naszych,“ nie może, niestety, p. T. zataić, że zbrodnia tego rodzaju więcej się szerzy na wsi, niż w miastach. Dwa są główne źródła zepsucia na wsi. „Córki niezamożnych włościan w porze dojrzałości zwykle idą na służbę bądź do gospodarzy wiejskich, bądź do służących dworskich, jako czeladniczki. Poufały stosunek z fornalem, parobkiem dworskim, kawalerem najczęściej, źle się kończy dla niedoświadczonej młodej dziewczyny, która też pada ofiarą uwodzeń i obietnic ożenku. Powtóre znów przedadwentowe i karnawałowe wesela zgromadzają zwykle wiele dziewcząt i chłopców, którzy uważają za rodzaj brawury i rycerstwa skorzystać z chwili i bałamucą upojone dziewczęta, nie patrząc na to, że te gorzko odpokutować muszą za chwilę szału. Z każdego takiego wesela lub wieczoru wynoszą te dziewczęta pojęcie o rozpuście i rezultaty jej w swem łonie.“ Ponieważ młodzież nie odważa się teraz wstępować w związki małżeńskie przed odbyciem służby wojskowej, zniknął więc dawny typ „żołnierki,“ jawnogrzesznicy wioskowej, która spełniała przedtem rolę klapy bezpieczeństwa względem wzmożonej energii płciowej męskiej: toruje więc ona sobie drogę gdzieindziej. Tymczasem potężna ręka wstydu podnosi się na owoce zaspokojonego wiekuistego popędu i zrywać je musi, zanim dojrzeją jeszcze. Stąd, jak utrzymuje dr. T., dzieciobójstwo wiejskie ujawnia się przedewszystkiem — spędzaniem płodu. „Są takie — powiada dr. T. — na które perswazye działają, lecz często idą do lekarza tam, gdzie mogą liczyć na pewny skutek swej prośby... Tam była już jej szczera przyjaciółka i ona chce spróbować. Idzie więc do babki, mającej upoważnienie do przyjmowania dzieci. Tu chętną i szybką pomoc znajdzie i lek gotów. Niestety, z małym wyjątkiem babki te trudnią się na wielką skalę procederem usuwania płodów. Pod pozorem choroby, niedomagania pozostaje zwykle dziewczyna na dni kilka w mieszkaniu babki, a gdy tego zrobić nie może, bierze do picia silne leki i w domu ich używa. Jak często z tego powodu wypada ratować zagrożoną utratą życia, tylko lekarze wiedzą. W wyjątkowych razach jest inaczej. Wtedy najczęściej biedna ofiara w rozpaczy rzuca się z sąsieka na klepisko lub pije arszenik wzięty w sklepie w miasteczku jako truciznę na szczury... Wypadki tego rodzaju w ostatnich czasach znacznie się pomnożyły. Gdy zaś zostanie przy życiu i samobójczy zamiar ją minie, jedyną nadzieją jest udanie się do Warszawy. Znajoma koleżanka przybywa na święta, zabiera nieszczęsną, która tam pozostawia swe dziecię do zagłodzenia lub na ofiarę strasznego procentu śmiertelności pomiędzy niemowlętami i sama już na wieś rzadko powraca.“ Autor twierdzi na pewno, że na 5 dzieci poczętych zawczasu usuwa się 3, do Warszawy odsyła się 1, zaledwie zaś *jedno* rodzi się na miejscu. Żeby należyte powziąć wyobrażenie o stopniu moralności danej okolicy, nie dość jest zebrać ilość nieprawych urodzeń, potrzeba ją jeszcze pomnożyć przez 5! Autor zebrał ciekawe cyfry z 13 parafij powiatu sokołowskiego gub. siedleckiej za lat 10, od r. 1879 do 1888 włącznie, otóż przeciętne ich grupują się w następujący sposób: wpośród ludności chrześciańskiej w 13 parafiach, biorąc przeciętną z lat 10, znajduje się mieszkańców obojej płci 45,615. Rocznie zawiera się tam średnio 377 małżeństw, tj., na każdy 1,000 ludności wypada 8 stadeł. Dzieci wszystkich rodzi się przeciętnie corok 1,629 czyli 35 na 1,000. Z tego przybywa rocznie w 13 parafiach 45 nieprawych, czyli na 1,000 ludzi — jedno. Cyfrę ostatnią, w myśl przyjętej zasady przez p. T., pomnożyć należy przez 5, w takim razie na 1,000 wypadnie już nie 1, lecz 5 nieprawych. Cały więc stosunek prawych do nieprawych wyrazi się inaczej. Rodzi się wszystkich dzieci średnio corok 1,629, z których nieprawych 45, czyli na 1,000 prawych 27 nieprawych, a w rzeczywistości pięć razy więcej czyli 135. Stąd w ogólnym wywodzie w rachunku p. T. wypada, iż w 13 rzeczonych parafiach na 100 znanych nieprawych poczęć rodzi się i chrzci dzieci nieprawych 27, wywozi do Warszawy 27, traci w łonie matki — 81! Jakież są na to środki zaradcze? Dr. T. zna tylko, oświatę religię, wpływ rodziców i usunięcie karczem...

Drugą już z kolei fabrykę „bawełnianą“ w Łodzi nawiedza pożar — za p. Poznańskim poszła tkalnia p. Heinzla. *Dziennik łódzki* donosi, że ratunek był utrudniony: brakło wody, sikawek, beczek podręcznych, brandmury nietrwałe, które pozwoliły ogniowi bez trudu wędrować od budynku do budynku. Straty w budynkach obliczają na 50,000 rubli, w maszynach i towarach—na 400,000. Zgorzało niemal 420 warsztatów mechanicznych, przy których pracowało 600 robotników. Szczęściem uratowano przeszło 500 warsztatów, a pożar nie uszkodził kotłowni i maszyn parowych, co nie pozwoli na zawieszenie robót i zatrudni najmitów, którzy inaczej byliby skazani na bezrobocie. Dziwnie się zbiegają te pożary łódzkie, epidemicznie wybuchające, z przesileniem trwającem w przemyśle tkackim. Ktośby sądził, że jakiś *deus ex machina* przychodzi regulować trudne położenie...

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Pożyczka kolejowa.

Dla rozwoju i ulepszenia ruskich kolei żelaznych zezwolono na zaciągnięcie pożyczki wewnętrznej w sumie 75 milionów rubli. W kurscetlach giełdowych imię jej chrzestne będzie brzmieć: „wewnętrzna konsolidowana kolejowa.“ Pierwsza emisya dokonana będzie w r. 1890 i przynosić będzie 4½% rocznie. Obligacye wydawane będą na nazwisko i na okaziciela w sumie: 100, 500, 1,000 i 10,000 rs. kredytowych. Odsetki liczyć się będą od 13 maja (st. st.) r. 1890. Losowania amortyzacyjne odbywać się będą corocznie w dniach 1 lutego i 1 sierpnia, począwszy od dnia 1 lutego r. 1891.

Zapomogi budowlane.

Niektóre miasta Królestwa Polskiego mają pozostałości z zapomóg rządowych dla pogorzelców oraz resztki nieużytych składek, zebranych w tymże samym celu. Środki te, jak to zrobiono już w Siedlcach, obrócone będą na pożyczki budowlane dla ubogich mieszkańców, którzy nie mają środków na przeróbki swych domów. Fundusze pozostawać będą pod opieką komitetów urządzonych przez rząd gubernialny.

Obejrzeli się nareszcie.

Jeśli to nie jest kaczka dziennikarska, wylęgła sztucznie z jajka urojenia reporterskiego, to podobno ktoś z kupców warszawskich zamierza zwić gniazdo pośrednicze na coraz bardziej z rokiem każdym rozwijającem się „letnictwie," tj. zwyczaju średnio zamożnych mieszczan zawierania krótkotrwałego małżeństwa z wsią. Zawiązuje się (bodajto prawda!) w Warszawie przedsiębiorstwo dostawy produktów spożywczych dla letnich mieszkań. Będzie ono miało w miejscowościach, położonych w powiecie warszawskim, nowomińskim, radzymińskim i błońskim abonentów śród mieszkańców letnich, którzy zaopatrywani mają być przez cały czas pobytu na wsi w produkty spożywcze po cenach targowych warszawskich. Będzie to zamach na drożyznę podmiejską, czyli na kieszenie miejscowych wytwórców z szlachetnym celem dogodzenia — spożywcom. Będzie to nawet dowód wspaniałomyślności ze strony Warszawy, która jest rodzajem bydlęcia przeżuwającego i jak to ostatnie w księgi, tak ona w rynek swój wchłania mięso, nabiał, drób, ogrodowiny, ogołacając z tych towarów w szerokim promieniu okolice... Oryginalne odpływy i przypływy!

Kapanina filantropijna.

Składki na tanią kuchnię przy ulicy Czerniakowskiej kopią z ciasnych kieszeni filantropów. Towarzystwo Lilpop i Rau wspaniałomyślnie złożyło 100 rs., fabryka gazu — 100 rs., fabryka farb ziemnych — 25 rs., p. Tworkowski — 50 rs., fabryka warszawska machin — 50 rs. itd. Nie będziemy wszystkich datków wyliczać, bo zapewne kuchnia, którą ten drobny deszczyk filantropii zrodzi, będzie opatrzona tablicą pamiątkową wyrazi je głoskami złotemi... Ogólna suma składek wynosi już 1,000 rs. Reporterzy mają nadzieję, że cała kwota niezbędna do otwarcia kuchni „z pewnością" się zbierze, gdyż kilka jeszcze większych fabryk w obrębie Solca i Czerniakowskiej jeszcze nie sięgnęły po kiesy. Kto wie, czy kiedy po nie sięgną, nie będzie to już łyżka po obiedzie, gdyż z jednej strony przedstawiciele fabryk wyrażają życzenia jaknajprędszego otwarcia kuchni, a z drugiej szafarze dobroczynności ciągle „wywiązują dyskusye" nad tem, jakby dalece jeszcze należało posunąć oszczędności w kosztach otwarcia i starają się je sprowadzić do minimum.

Szkoły. Na kolejach Poleskich w r. p. mają być utworzone dwie szkoły: w Baranowiczach i Łunieńcu.

— Przy wydziałach lekarskich tych uniwersytetów, w których obowiązuje nowa ustawa, działać zaczęły komisye, przed któremi składać muszą egzaminy studenci, pragnący posiąść prawo praktyki lekarskiej w państwie.

— W sprawie ulg i skróconego terminu w odbywaniu służby wojskowej dla młodzieży kształcącej się w zakładach naukowych zagranicznych, zapadło następujące postanowiènie: Synom urzędników spraw zewnętrznych, duchowieństwa i innych osób urzędujących, które w sprawach służbowych przebywają za granicą, dozwala się odłożenie służby wojskowej do ukończenia lat 22 lub 27, zależnie od kategoryi zakładu naukowego, po przedstawieniu świadectwa o pobieraniu nauki przez misyę lub poselstwo. Ukończenie zakładów naukowych zagranicznych, jeżeli uzna poselstwo, iż odpowiada ono kursowi zakładów ruskich, daje ulgi 1-ej lub 2-ej kategoryi. Do pozyskania ulgi należy świadectwo poselstwa przedstawić ministeryum oświaty, tudzież zdać egzamin z historyi, geografii i literatury ruskiej. Inni młodzi ludzie, których rodzice mieszkają za granicą, mogą na tychże warunkach otrzymać ulgi w odbywaniu powinności wojskowej, lecz za oddzielnem pozwoleniem ministeryum oświaty, działającego w porozumieniu z ministeryum spraw zagranicznych i za złożeniem świadectwa dobrej konduity od poselstwa. Wszelkie inne osoby, kształcące się za granicą, po przybyciu do kraju, powinny, celem otrzymania ulgi, zdać egzamin z kursu jednego z zakładów rządowych.

— Ogłoszono rozkaz Najwyższy, zawieszający przyjmowanie studentów do piotrowskiej Akademii gospodarstwa wiejskiego na r. p. Podobno ma to ua celu przekształcenie zakładu.

— Rada państwa przyjęła projekt kontrolera Filipowa w sprawie zmniejszenia liczby godzin języków starożytnych: łaciny o 13, greckiego o 3, natomiast mają być wprowadzone nauki przyrodnicze; liczba godzin matematyki będzie zmniejszona o 3, fizyki powiększona o 3; łacina ma się wykładać od klasy I-ej. Powyższa uchwała będzie zatwierdzona przy końcu b. m.

— Departament lekarski ministeryum spraw wewnętrznych poruszył kwestyę, aby uczniowie aptekarscy przechodzili obowiązkowo kurs teoretyczuy w aptekach pod oddzielnym kierunkiem samych właścicieli aptek. Jednocześnie proponowane są roczne egzaminy przy rewizyach aptek.

Wiadomości społeczne. Towarzystwo przemysłu i handlu stara się o urządzenie państwowej asekuracyi robotników od nieszczęśliwych wypadków.

— *Dziennik łódzki* donosi, iż jeden z tamtejszych fabrykantów, posiadający wielkie dobra w gub. piotrkowskiej, parceluje grunty swoje pomiędzy włościan.

— Zjazd do salin w Wieliczce urządzony będzie 26 i 27 b. m. Dochód z biletów przeznaczony jest na rzecz ubogich m. Wieliczki.

— W Poznaniu zawiązała się spółka w celu skupowania majątków, regulowania hypotek i udzielania pożyczek. Udział 1,000 m.

— Towarzystwo krakowskich kolonij wakacyjnych wysłało w r. z. na świeże powietrze ogółem 63 dzieci. Główny dochód przyniosły: bal w Krynicy 650 złr., ofiary: rady miejskiej krakowskiej 500 złr., E. Jerzmanowskiego 150 złr., odczyt M. Konopnickiej 200 złr. Z powodu zgłaszania się wielkiej liczby kandydatów, wydano odezwę publiczną z prośbą o nowe datki na kolonie.

— Rodzina Szeiblerów ma zamiar cofnąć zapomogę udzielaną Kościeleckiemu na utrzymanie stałego teatru polskiego w Łodzi. Powodem tego jest podobno wyjazd towarzystwa artystów na sezon letni do Warszawy.

— Dochodzą skargi, iż kolej Nadwiślańska nie wypłaca punktualnie pensyj swym pracownikom.

— Z powodu podniesionego przez gazetę *Czerwona Ruś* projektu zaprowadzenia kirylicy we wszystkich językach słowiańskich, *Now. Wr.* powiada, że taka myśl zasługuje na wielką sympatyę i że ten objaw wszechsłowlańskiego zjednoczenia wydaje się w przyszłości w taki lub inny sposób możliwym do urzeczywistnienia.

— Dotychczas zakładanie przytułków poprawczych i kolonij rolniczych dla nieletnich przestępców pozostawione było prawie wyłącznie inicyatywie prywatnej. Obecnie, jak donosi *Now. Wr.*, ministerya spraw wewnętrznych i sprawiedliwości orzekły, że otwieranie przytułków i osad, tak samo jak więzień dla dorosłych, powinno pozostać w ręku rządu, co jednak nie będzie przeszkadzało społeczeństwu niesienia pomocy rządowi w tej sprawie. Ministeryum spraw wewnętrznych opracowało już odpowiednie przepisy.

Teatr nasz okazał publiczności ostatni *article de Paris*, p. t. *Teściowa* firmy W. Sardou i Sp. Tym razem chodzi o dowiedzenie zapomocą sprężynek scenicznych, że teściowa nie zawsze bywa złą jędzą, ale także dobrą i płochą kobietą. Na szczęście fabrykantów ich robota, przykrojona dla jakiejś p. Magnier w Paryżu, pasowała do talentu Lüdowej w Warszawie. Więc popis aktorski się udał, a kto chce wiedzieć o nim coś więcej, niech pójdzie do teatru lub odczyta w prasie obszerne o *Teściowej* studya.

Sprawy kolejowe. Pierwsze wagony bufetowe zaprowadzone będą w ciągu bieżącego lata w pociągach kuryerskich, idących z Petersburga do Moskwy i Charkowa.

— Pełnomocnicy ostatniego zjazdu górniczego w Rosyi południowej wnieśli podanie o koncesyę na budowę 13 kolei podjazdowych do kopalni węgla.

— W zarządzie kolei Nadwiślańskiej, w celu zmniejszenia bardzo znacznych opłat, wyznaczanych dla służby stacyjnej, biurowej i warsztatowej na Pelcowiznie, wypracowano projekt kupna lub budowy kilku domów administracyjnych.

Rolnictwo. Komisya senatora Plewego złożyła swoje wnioski do Rady państwa. Zadaniem komisyi było wskazanie środków przetrwania kryzysu ekonomicznego dla rolników w czasie upadku cen zboża; otóż proponowano otwarcie kredytu w banku państwowym na sola weksle, z zabezpieczeniem kredytu na ruchomościach pożyczającego. Dla włościan zaś projektowano otwarcie kredytu z warunkiem urządzenia przez nich magazynów na zboże i szczegółowego wykazu zboża dla gwarancyi pożyczki. Rada państwa, rozpatrzywszy projekt, orzekła, iż kredyt bankowy, istniejący obecnie na sola weksle, jest nieodpowiednim dla pożyczek na zboże, ponieważ jest krótkoterminowym. Kredyt zaś taki powinien być dłuższym, zależeć od stanu cen na rynkach danej chwili i trwać dopóki ceny zboża nie podniosą się. Dlatego więc rolnicy powinni mieć prawo odraczać pożyczkę do zregulowania stalszych i pewniejszych cen na zboże. Z takiemi zastrzeżeniami projekt zwrócono do uzupełnienia.

Zjazdy. Stanowczy termin rozpoczęcia 4-go międzynarodowego kongresu więziennego w Petersburgu oznaczono na 4 (16) czerwca r. b.

— Siódmy międzynarodowy kongres telegraficzny otwarto 16 b. m. w Paryżu.

— W Petersburgu ma być zwołany zjazd lekarzy z gub. petersburskiej w celu obmyślenia środków na wypadek cholery.

Wystawy. W Hamburgu otwartą będzie wystawa produktów ruskich, sprowadzanych morzem Czarnem i Azowskiem.

— W Bremie otwartą zostanie 1 czerwca wystawa marynarska.

— Wolnoekonomiczne Towarzystwo w Petersburgu ma urządzić wystawę warzywnictwa, nasion i jarzyn suszonych.

Zmarli. Anastazya hr. Dzieduszycka, autorka kilku prac treści moralno-pedagogicznej.

— Walerya Żarnowska, w Warszawie. Drukowała swoje utwory poetyczne w *Tyg. ilustrowanym.*

— Juliusz Gunding (pseudonim Lucyan Herbert), w Pradze, powieściopisarz niemiecki.

— Wiliam Brades, w hrabstwie Gurrey, wybitny drukarz, autor dzieła „The life and Typography of W. Caxton."

— Robert Fleury, w Paryżu, malarz francuski.

Bibliografia. Dr. O. Maas, *Poradnik dla cierpiących na otyłość*, str. 52, Warszawa.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

A. C. Co do poezyi, kwilenia ładne, ale nie zawierają w sobie nic tak szczególnego, żeby zasługiwały na przekład. Co do prozy — to nawet nie szkic, ale brulionowa notatka.

Panu St. P. w Tyflisie. Skorzystać nie mogliśmy; odesłano do *Kraju.*

St. Kr. Wierszowanie dobre, ale obraz nie wyraża myśli jasno. Bo cóż znaczy ten potop?

Amifem. Niektóre zwrotki przetłomaczone bardzo ładnie, inne słabiej (np. „klacz ziemi daje szturchańce"), ale oba wiersze żarowo namiętne, mające racyę bytu w zbiorze utworów poety, nie miałyby jej oderwane w *Prawdzie.*

Pani T. Gor. Poszukamy.

Z. P. Nie.

W. W. Cały ten *Żywy posąg* jest tak lichy, że nie będziemy sprawdzali, czy on zrobiony został z noweli Murgera *Le souper de funevailles.*

Czytelniczce. Ma Pani słuszność.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Newskie NICI

NEWSKA NICIANA MANUFAKTURA ST. PETERSBURG

NASZE PERFUMY

wyrabiane wyłącznie przez

Warszawskie Laboratoryum Chemiczne

dorównywają przymiotami najlepszym perfumom angielskim, będąc o 40% od nich tańszemi. Dostać można w 15-tu pięknych zapachach.

Tomilek (Heliotrop).	Rozwoń (Magnolia).	Rezeda.
Konwalja majowa.	Róża mchowa.	Szczęśliwoń.
Fijołek.	Zamrocznia (Ixora).	Bodziszek różanny.
Bukiet Warszawski.	Świeże siano.	Przepyszlin (Gardenia).
Bukiet Łazienkowski.	Storczyk.	Kalina ordowid.

Jedyna cena flakonów oryginalnych 40 kop.

Dostać można: 1) Róg Miodowej i Senatorskiej, 2) Krakowskie-Przedmieście Nr. 1, 3) Róg Granicznej i Królewskiej, 4) Nalewki Nr. 31.

ΟΙΝΟΣ ΕΛΛΗΝΙΚΟΣ

Wina Greckie

znakomitej dobroci w 6-ciu gatunkach. Skrzynki po **12 Butelek** w cenie **Rs. 10 kop. 80** wysyłają do wszystkich stacyj w Królestwie franco.

Bracia Kempnerowie, Długa, 5.

Nagrody z Wystaw za skuteczność: Warszawa 1885, Warszawa 1886, Kraków 1887, Symferopol 1888.

!!TYSIĄCE ŚWIADECTW!! PEWNY ŚRODEK

„EXSICCATOR"

OSUSZA WILGOĆ, ZABEZPIECZA DRZEWO OD GNICIA, GRZYB. KAJ.t.p. — BROSZURKA ILUSTROWANA BEZPŁATNIE. POSZUKUJĘ AGENTÓW. Wyn. Inż. G. Ritter. KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Upraszam o zwrócenie uwagi na markę fabryczną, gdyż wiele pojawiło się falsyfikatów.

Sprzedaż

Płótna, Kretonów, Perkali, Haftów i Bielizny damskiej

Hoża Nr. 14, **Br. Jabłkowscy.**

Najnowsze Wydawnictwa Księgarni
GEBETHNERA I WOLFFA

Chojecki T. O tuczeniu bydła opasowego, podręcznik dla gospodarzy . kop. 30
Kosiakiewicz W. Druty telegraficzne — Trzecią klasą, Sarna, Michałowa, Pierwszy kwiatek, Samobójstwo, List, Wyrok śmierci, Bogaci wójostwo, Pan sędzia pokoju, Fräulein, Wójaszek smok, Ważne przedstawienie, Ex-aktor, Mój sąsiad, Tylko dwa przedstawienia, Majowe nabożeństwo rs. 1 kop. 20
Lubowski E. Kochanek Małgosi (typy gatunkowe) . . . . . rs. 1 kop. 50
Łuczkiewicz H. dr. Dwie księgi Hipokratesa . . . . . . rs. 1 kop. —
Prus B. Lalka, powieść w trzech tomach . . . . rs. 4 kop. —
Rapacki W. Hanza, powieść z XV-go wieku . . . . . . rs. 1 kop. —
Rodoć M. Satyry III . . . . rs. — kop. 60
Sienkiewicz H. Ta trzecia, Sachen, Sielanka, Walka byków w Hiszpanii, Z puszczy Białowiezkiej, Wycieczka do Aten . . . . . . rs. 1 kop. 50
Smólska N. Teorya rękawiczników (z tabl. i 26 rysunk.) . . . rs. — kop. 40

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Magazyn Ubiorów Dziecinnych **S. Przedzieckiego** Kotzebue Nr. 2, w Warszawie. ul. Kotzebue Nr. 2 (róg Wierzbowej).

PERSPEKTYWKI

TEATRALNE I POLOWE

ze szkłami achromatycznemi, oprawne w skórę, kość słoniową, konchę perłową z korpusem niklowym, oksydowanym lub alluminiowym, w wielkim wyborze **po cenach najniższych** w Magazynie Optyczno-Mechanicznym

Juljana Drehera

Szpitalna 6, w Warszawie.

Uwaga. Zakład otrzymuje **stale** binokle i okulary z zagranicznych fabryk w najświeższych fasonach i gatunkach.

F. Drechsler Warszawa, Leszno 14.



ROWERY od rs. 125—250. BICYKLE od rs. 100—220.

Używane welocypedy od rs. 50.

Apteka, Poczta, Telegraf, Sklepy, 2 Restauracye. Powozy i omnibus na pociągi pocztowe.

Zakład Leczniczy NAŁĘCZÓW.

5 godzin od Warszawy, i godz. od Lublina, 4 wiorsty od st. kol. Nadwiślańskiej Nałęczów.

Środki lecznicze: 1) **Instytut wodoleczniczy** (hydropatyczny) z zastosowaniem elektryczności, masażu, wód mineralnych i kuracyi dyetetycznej, **pod kierunkiem Dr. Chmielewskiego.** 2) Łazienki do kąpieli żelazistych i borowinowych Nałęczowskich, igliwiowych i wszelkich sztucznych, gimnastyka lecznicza, kumys, kefir itd. w sezonie letnim od 15 maja do 15 października. — Całodzienne utrzymanie z kuracyą od 3 rs. dziennie, w sezonie zimowym ceny zniżone. — Bliższych objaśnień udziela na miejscu administracya Zakładu.

Najtańszy i na różne ceny

KROKIET

WYSTAWA HYGJENY WARSZAWSKA DYPLOM UZNANIA 1-ej Klasy 1887 r.

z dodaniem opisu polskiego z figurami,

oraz Wielki Wybór

Zabaw i Gier ogrodowych

w Składzie

JULIANA MÜLLERA

Senatorska 24, wprost Kościoła.

GŁÓWNY SKŁAD ZAKŁADÓW ŻYRARDOWSKICH

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr. 55,

otrzymał i poleca:

WAŃTUCHY.

Worki do zboża, Opony nieprzemakalne, Drylichy na dery.

PŁÓTNA i DRYLICHY

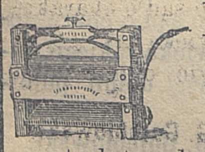
w pasy, na Rolety, Markizy, Pawilony, Materace i Pokrowce meblowe w tegorocznych nowych zestawieniach kolorów.

REWAŃTUCH,

po cenach najprzystępniejszych.

Zarządzający Składem Żyrardowskim **L. BUŁAKOWSKI.**

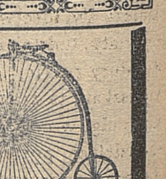
NB. Próby płócien i drylichów w pasy, drylichów na dery na konie i rewantuchu, wysyłam **na prowincyę** na żądanie odwrotnie i bezpłatnie; zamówienia załatwiam **za zaliczeniem,** lub po otrzymaniu gotówki.



w ratach tygod. po kop. 50.

Bicycle od rs. 100, Rowery angl. od rs. 150, Tricycle angl. od rs. 150, Welocypedy dziecinne, **Przybory do Welocypedów,** Wyżymaczki „Empire," Widelce, Noże, Scyzoryki, Brzytwy i narzędzia ogrodnicze, polecają **J. Hilkner i S-ka,** Warszawa, **Krakowskie - Przedmieście 5,** (róg ul. hr. Berga).

Poszukują się Agenci. — Cenniki gratis i franco.



w ratach tygod. po rs. 5.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 11 Мая 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.